Pamiętnik

Jana Maykowskiego

członka „Komitetu Centralnego"
a następnie
Komisarza nadzwyczajnego Rządu
Narodowego w zaborze austryackim

z przedmową
Stanisława Krzemińskiego.

Niniejszy konspekt ogólny Pamiętnika Jana Maykowskiego, członka Komitetu Centralnego (Rządu Narodowego) z r. 1863-go i poprzednich, przejrzany i sprostowany co do treści przeważnie w kilkunastu miejscach, jakotež opatrzony przedmową, składam w darze Czcigodnej Bibliotece Jagiellońskiej.

D. 16 lipca 1912 r. Kraków. Stanisław Krzemiński (wł.)

Słowo wstępne.

Autor pamiętnika urodził się w r. 1828 w Warszawie. Ojciec jego, Edward Maykowski był dowódzcą batalionu saperów w randze majora. Niewtajemniczony w sprzysiężenie, już wówczas półkownik, w pierwszej chwili 29-go listopada wahał się co robić; ale czego mu nie wyszeptali ludzie, to powiedziała sama moc cudotwórcza. Coraz to nowy żołnierz stawał pod nowo podniesioną chorągwią na nowe hasło; lud wrzał żądzą wolności, wymierzał swą sprawiedliwość i chwytał za oręż; szaserzy Kurnatowskiego wszczynali walkę, która tylko bratobójczą być mogła; opanowanie arsenału czyniło ruch już nieodwołalnym: Maykowski dostrzegł drogę, którą pójdzie część narodu, w Królestwo Kongresowe wtłoczona, i zaraz na nią sam wszedł. Już w nocy opędzał się szase-

rom na Saskim Placu i Krakowskim Przedmieściu, a nad ranem bez innego rozkazu stanął na posterunku obronnym przy zbiegu Nowego Świata i Placu Trzech Krzyży. W początku kwietnia porwała go nagle, jednego z pierwszych, cholera, wniesiona przez wojsko rosyjskie.

W niewielkiej wiosce [1]) została młoda, niezwykle piękna wdowa, Julia z Garczyńskich, z czworgiem drobnych dzieci. Wychowanie potomstwa, ocalenie niewielkiego mająteczku, stało się jedynem zadaniem jej życia: odrzuciła propozycye małżeństwa, aby, spełniając obowiązek względem dzieci, nie przeniewierzyć się ich ojcu. Drobiazg wzrastał w atmosferze mocno uczuciowej a podniosłej. Szczera pobożność zespalała się w tym domu z bezwzględnym a bezwiednym patryotyzmem; dla nich był on jakby utajonym cieplikiem. Dziadek macierzysty p. Garczyński, konfederat barski, już 90-letni, ale jeszcze

---

[1]) Jasionna nad Pilicą, w pobliżu Białobrzegów i Suchej, w północnym krańcu województwa Sandomierskiego.

rażny, uosabiał dzieciom przeszłość, która pod zawołaniem Maryi właściwie za ojczyznę walczyła. Stary Jan, towarzysz bojowy z Hiszpanii, ordynans ojca, a teraz przyjaciel i piastun dzieci, karmił je opowieściami o przygodach, w zaciętej walce narodowej przebytych, uczył chłopców musztry, opowiadał im o Napoleonie, księciu Józefie i Moskwie i urządzał zabawy w wojnę. Walter Scott z Ossyanem we dwóch także przykładali się do wykształcenia i rozpalali wyobraźnie. Przy dobrem pożyciu z ludem, podania z ust jego zbierane, budziły jakieś tajemnicze tęsknoty, malowały nowe krainy baśni, rzucały nowe uroki na życie, co miało wszystkich ubłogosławić. Każdemu z dzieci dostało się coś z marzycielstwa i coś z zapału, każde czuło moc, która rwie za sobą i nie pyta: chcesz czy nie chcesz. Epoka ciągłych męczeństw, szubienic i kajdan wzmacniała jeszcze i pogłębiała ów nastrój patryotyczny.

Gospodarstwo w Jasionnej w kobiecych rękach szło coraz gorzej. Po r. 1840. po śmierci konfederata, (żył 102 lata) musiała pułkownikowa folwarczek wy-

dzierżawić i przenieść się do Warszawy, dokąd zabrała i obu chłopców starszych, oddanych zrazu do Radomia. Obaj ukończyli szkoły w Warszawie, i gdy nie było wyboru, dostali się do biur rządowych. Matka przez stosunki swego męża, dzieci przez swe zdolności, zalety umysłu i zamiłowanie książki, znalazły wstęp do lepszych, cichych, przed policyą utajonych towarzystw stolicy. Wpływ takich Dobrzańskich, później Szumlańskich, Janiszewskich, Janickich, wreszcie Wójcickiego rozwijał i kształcił nabytki tradycyi rodzinnych, posiewy domu i szkoły. I u samej pułkownikowej zapłonęło żywsze ognisko zbiorowej myśli obywatelskiej, gdy córka jedynaczka, późniejsza Marya Ilnicka, skończywszy pensyę u Plewińskiej, zaczęła już próbować pióra. Jeżeli starzy w tych towarzystwach dawali wspomnienia i nauki, młodzi owiewali je duchem — a był to duch buntu, ciągłego buntu niepoprawnych Polaków. Obaj Maykowscy, zetknąwszy się z młodzieżą myślącą o ojczyźnie, czynami dla ojczyzny, brali udział w robotach podziemnych. Starszy, Edward, w r. 1850. wszedł do ówczesnego sprzysiężenia i w samych

jego początkach wraz z wielu innymi zagrożony, ale od wielu innych, wskutek wczesnego ostrzeżenia, szczęśliwszy, uciekł za granicę; w Paryżu skończył Szkołę Centralną i przy wybitnych zdolnościach, choć cudzoziemiec, został inżynierem na drogach zachodnich. Młodszy, który w spisku dopomagał tylko bratu, ocalał i miał dalej w Komisyi Skarbu, w wydziale dóbr i lasów, dosługiwać się karyery. Sekcya dóbr, w której służył, dawała mu sposobność do dłuższych, corocznych przejazdów po kraju, do zaznajamiania się z ludem, poznawania jego nastroju, do obcowania z obywatelstwem ziemskiem, w którem wówczas nie było ani ugodowców, ani realistów, choć byli już Wielopolscy. Na wyrobienie ostateczne umysłu wywarło wpływ stanowczy małżeństwo siostry, która w początkach r. 1853. wyszła za Tomasza Ilnickiego, prawnika z powołania, urzędnika Banku Polskiego, człowieka o krystalicznie czystym charakterze, z głęboką miłością ojczyzny; surowego dla siebie i innych, a przedewszystkiem gruntownie wykształconego jeszcze w uniwersytecie warszawskim.

Młody jeszcze, dopiero 18-letni, poznałem Jana Maykowskiego w r. 1858 ů państwa Ilnickich. W salonie literackim, który się był ů nich wytworzył, skoro tylko pani domů weszła w literatůrę warszawską, ůderzyła mnie wymowa jej brata, z początků spokojna, w miarę oporů lůb rozwojů myśli rosnąca w namiętność, obrazami działająca, składna, potoczysta — a nietylko w sprawach půblicznych, w polityce, ale i w rzeczach literackich, czy chodziło o powieść George Sand albo Kraszewskiego, czy o Szajnochę, Syrokomlę lůb Pola, którymi wówczas w Warszawie żywo się zajmowano. Bliższe poznanie pokazało mi natůrę zapalną, o idealistycznym nastrojů, ale i głowę logiczną. Przystaliśmy jakoś do siebie i mimo różnicy wieků zaprzyjaźnili się. Mieszkanie w tym samym domů ůłatwiało stosůnki. Zaprosiłem go do siebie na tygodniowe wieczory, od jesieni 1857 r. ůrządzane dla młodzieży patryotycznej: wśród młodych był młodym jak i my. Poza kołami, do których ja sam należałem, obracał się jeszcze w innych; bywał np. ů Jůrgensa, ale nie

bywał u Narcyzy Żmichowskiej. Byliśmy razem d. 18 marca 1859 u Pijarów na nabożeństwie „za duszę Adama-Juliusza-Zygmunta. W biurze bliższe stosunki łączyły autora pamiętnika z Aleksandrem Adamowiczem i Bronisławem Brzezińskim. Pierwszy z nich zajmował się pilnie dziejami Polski; drugi był gorącym, czynnym, ale nie wybuchowym patryotą; obu poznałem i ściągnąłem do siebie. Z Brzezińskim związała mnie ważna sprawa już przy samym upadku powstania w r. 1865.

W listopadzie 1859 r. wyjechałem do Paryża, aby się otrzeć o tę emigracyę, która nie przyjęła amnestyi, poznać jej literaturę i dochowane szczątki ludzi, a potem udać się na studya do Heidelberga. Kiedy nieprzewidziane okoliczności zmusiły mnie do powrotu już w marcu 1860 r. Jan Maykowski był już zwolennikiem jakiegoś uzewnętrzniania uczuć, czegoś, coby z dusz wyszło na zewnątrz, a było upomnieniem się o prawa. W pierwszej połowie czerwca na pogrzebie Sowińskiej objawiał młodzieńczy zapał. Pierwsza manifestacya już bezpośrednio

patryotyczna, d. 29 listopada 1860 r. na Lesznie, miała w nim głównego wykonawcę przygotowań. Ważne a wiarogodne jest w pamiętniku odsłonięcie stosunku Jürgensa do tego obchodu. Są znowu inne świadectwa, że w czasie narad u Kronenberga w końcu grudnia 1862 r. Jürgens, wbrew zdaniu patryotów ze wszystkich ziem polskich, uważał powstanie za nieodzowną konieczność", a gdy już wybuchło — według zeznania zmarłego w samym początku bieżącego stulecia Dra Franciszka Śliwickiego w Warszawie — rzekomy teoretyk millenaryzmu, jak go nazywał Mierosławski — widział jedno tylko wyjście z wąwozu: z powstaniem się łączyć.

Gdy w środku marca 1861 r., pod wrażeniem wypadków 25 i 27 lutego, a po wywiązaniu się ze skromnej missyi do Guttrego w Paryżu Poznańskim, stanąłem w Warszawie, nie mogłem jej poznać: inaczej się tu teraz żyło, inaczej radowało, inaczej cierpiało, a nie szalało wcale. Nowe życie, nowy lud; tylko kamienie i mury te same. Czułeś, chwytałeś jakby już odradzanie się narodu. Kto nie widział Warszawy w tych

dniach niezapomnianych, ten nie był świadkiem najwspanialszej może ewolucji w dziejach. Podniosła się ku niebu i ku ojczyźnie skala umysłów i serc. W jednej chwili pięciu ofiar ustaliło się odrazu jakieś nowe, tajemnicze, międzycząsteczkowe lgnienie, jakieś wspólne, bez różnicy klas, stanów, majątków i powołań, obywatelstwo; jakieś ogromne skierowanie się wszelkich żądz i interesów, wszelkich dążeń społecznych, zgodnych czy rozbieżnych, w jedno szerokie koryto żądzy narodowego bytu. Ludzie wyszlachetnieli, lud się umoralnił. Zadziwiająco zmniejszyła się liczba przestępstw i wykroczeń. Człowiek był i gorętszym i czystszym niż dawniej.

W tym skromnym zakresie życia publicznego, jakie dawała delegacja, spełniano co nakazywał obowiązek, nietylko z ochotą i rzetelnością, ale i z religijnem jakby poszanowaniem. Służba delegata czy konstabla nie była przywilejem dla uciechy tych, którym pozwolono na krótką chwilę odetchnąć: była twardym trudem, spełnianym przez wielkich i maluczkich z jednakową gorliwością. Pamiętam, jednej

nocy na części ulicy Marszałkowskiej i na ówczesnej Próżnej znajdowałem się na stróży razem z Maykowskim i Ilnickim: nas dwóch ziąb przejął i do zejścia ze stanowiska przymusił; Jan pozostał i tak nigdy nie opuszczał swej kolei. Nie byliśmy z sobą d. 8. kwietnia na Krakowskiem Przedmieściu i Placu Zamkowym, gdzie lała się tak obficie krew; aleśmy się znaleźli obaj u Fary d. 15. października na nabożeństwie Kościuszkowskiem. Razem nas po godzinie 4-ej rano pognano do Cytadeli. Na Placu Zamkowym i przez całą drogę (Podwale, Freta) miałem go nieopodal siebie. Na niego, jasnego blondyna, ale nie uderzającego wzrostem, wskazywali obozujący na Placu Zamkowym żołnierze „Eto (czy też wot) polskij korol," wpędzili go na jeden z ogni w mroźną noc rozpalonych i kazali mu przezeń skakać. Kiedym w samym końcu grudnia opuszczał Warszawę, Jan nie należał jeszcze do żadnego tajemnego związku, zresztą, najwcześniejsza ze wszystkich organizacya Warszawy znajdowała się dopiero w zalążku, Czarni Bracia byli mistyfikacyą, a ruch na drogę rewolucyjną naprawdę wepchnęli dopiero Dąbrowski i Chmieleński

na wiosnę 1862 r. Niesłychana była ruchu tego gwałtowność.

Na jesieni 1861 r. sprowadził się autor pamiętnika do mnie, do domu Zamoyskich przy ul. Żabiej do tego samego mieszkania, które obecnie zajmuje Tadeusz Korzon. Po nowym wyjeździe moim za granicę w samym końcu grudnia 1861 r. przybył Maykowskiemu współlokator, Oskar Awejde, przez nas na uniwersytecie ~~(zwany)~~ przezwany „Basikiem."

W lipcu 1862 r. dochodziły do Heidelberga pogłoski o komitecie rewolucyjnym, w końcu sierpnia, po powrocie ze Szwajcaryi, dowiedziałem się o Janie, że jest nadzwyczaj czynny i głośny. W parę tygodni później dostaliśmy „Strażnicę" z odezwą d. 1. Września; w październiku już nowi przyjezdni wymieniali nazwisko Maykowskiego, jako jednego z członków Komitetu Centralnego; powtórzył mi je Kurzyna, przybywszy na obchód listopadowy do Heidelberga. Ten pośpiech i rwanie się, ten pęd szalony przejmowały mnie zgryzotą: praca unarodowienia szkoły, 600 nowych szkółek dla ludu, rozwój umysłowy, społeczny

i bądź co bądź polski: wszystko szło na marne, a nieszczęście pewne, a drabina nieszczęść — jak mawiał Aleksander Krajewski — nie mająca nigdy szczebla, któryby był ostatnim...

Gdy w końcu grudnia wróciłem do kraju, nie było już sposobu zatamować potoku: ruch ogarnąwszy masy, stał się już żywiołowym — ale, niestety, ludu wiejskiego osiadłego nie tknął. Maykowski był przeciwny powstaniu i na krótko przed wybuchem, prawie jednocześnie z Gillerem, wyszedł z Komitetu. W krótkiej przerwie między 11 a 18 stycznia wyzwolony z więzów zależności, zadrżał z trwogi o los narodu; z rozpaczliwego położenia po zamachu Wielopolskiego na młodzież całego Królestwa szukał wyjścia w wielkiem jakiemś całopaleniu, w ofierze życia tych wszystkich, na których ciążyła odpowiedzialność za nastrojenie mas miejskich na ton walki zbrojnej. D. 16. stycznia w piątek wczesnym wieczorem we wspólnem mieszkaniu naszem rozwinął przedemną pomysł zebrania się w kościele (Reformatów) i wyruszenia z godłami wiary i męki na ulice miasta, aby dać

się wymordować. Był to jedyny moment, w którym człowiek stale płonący, energiczny, a silny w myślach ukazał mi się bez ognia, energii i sprawności umysłowej, tak dla jego indywidualności znamiennych.

Z pamiętnika nie widać jasno, co wprowadziło Maykowskiego napowrót do Komitetu. Mnie odrazu zdawało się, ze zapewnienia i zaręczenia wojewódzkich i komisarzy, wezwanych do Warszawy na niedzielę 18. stycznia na radę walną we wspólnem naszem mieszkaniu odbytą, rozstrzygnęły o tak rychłym powrocie. Nacisk prowincyi na Warszawę, już w dniu 11. stycznia uchwałami skierniewickiemi wywarty, zaważył wiele na szali losu; ale, gdyby nawet wcale powstania nie chciano i nie uchwalano, zrobiłby je sam pobór do wojska, zrobiłaby gillerowska dyslokacya, która go miała udaremnić. Wszystkiem był ciężar i rozpalenie się mas przez ruch i opór.

Na wielkiej naradzie 18. stycznia, która postanowiła powstanie, podjął się autor pamiętnika napisać manifest powstańczy. Ten, który rzeczy-

wiście wyszedł, jego jest dziełem; nieznaczne tylko poprawki stylistyczne doradziła mu siostra, a koledzy w Komitecie lekkie tylko w pojedynczych wyrażeniach wprowadzili zmiany.

Na dwa dni przed powstaniem, we wtorek wieczorem Majkowski, Awejde i Witold Marczewski, znając stosunki moje z Kurzyną i Mierosławskim, jęli na mnie nalegać, abym zaraz nazajutrz zrana jechał do Paryża dla nakłonienia generała do objęcia dyktatury, którą kto inny, umyślnie wysłany, urzędownie mu zaproponuje. Zdziwiło mnie nazwisko wychodzące z ust, które do owej chwili nieprzychylnie tylko o Mierosławskim się odzywały – i słusznie, gdyż Mierosławski szedł otwarcie przeciw Komitetowi. Rozmowa, długa i szczegółowa – bom się opierał i do wybuchu, choćby tylko pośrednio, przykładać się nie chciał – pokazała mi, że działano w przeświadczeniu o konieczności tego, a nie innego człowieka. Argumenta, wymownie, gorąco, z pewnem zaklęciem wyłożone przez autora pamiętnika, przechyliły pogląd mój na stronę opozycji. Nazajutrz o 10-ej

zrana siedziałem już w wagonie wraz z Władysła-
wem Janowskim, bratem Józefa, poległym wkrótce
w boju.

Kiedym wrócił (dopiero 18 lutego) do Warszawy,
zastałem mieszkanie puste. Awejde z Maykowskim
w zachodniej części Królestwa szukali dyktatora, aby
mu zdać władzę. Dokumentem historycznym
jest to, co mówi autor o wędrówce do Kutna,
potem do Opoczna, o błąkaniu się pomiędzy po-
bitym Mierosławskim a zwycięskim Langiewiczem,
pomiędzy dyktatorem z woli rządu tymczasowego
a dyktatorem z łaski reakcyi i samozwaństwa.
Widać z wytrwałości w tem błądzeniu, jak silnie
ludźmi ówczesnymi rządziła zasada, w przewidy-
waniu chwili wyrocznej od samego początku ru-
chu narodowego wyznawana, że ktokolwiek zajmie
stanowisko wróżące utrwalenie się władzy jawnej
i odpowiedzialnej, temu każdy bez względu na
przekonania swoje kornie się podda. Ja tę powścią-
gliwość złudzeń i ideałów ujmowałem w zdanie:
„choćby powstanie zrobił sam dyabeł, — pójdziemy

za nim".

Gdy w drugiej połowie marca obaj wędrownicy znaleźli się napowrót w Warszawie, spadł na nich ciężar dawny z nową jeszcze rzucony siłą: trzeba było władzę rozprzężoną zreorganizować. Ja, choć nie należąc do zarządu, nie uchylałem się od roboty. W końcu marca autor pamiętnika uczynił mi propozycyę napisania statutu czy regulaminu dla władz prowincyonalnych i wskazał do niego zasady. Nie wiem w jakiej mierze wykład tych zasad był dziełem samego Maykowskiego, ale zostało mi po nim wrażenie porządku w myślach i dążenia do jednolitości w działaniach. Sama ustawa, litografowana na rozpostartym arkuszu papieru, z datą 28 marca 1863 r. jest dziś zabytkiem nader rzadkim.

Zbliżał się szybko moment krytyczny. Dnia 2-go kwietnia z samego rana otrzymaliśmy ostrzeżenie, że policya otacza nas szczególną pieczołowitością. Pewne było aresztowanie. Współmieszkańcy moi nie skorzystali z dnia, ledwo się wydobyli już wie-

czorem. Wkrótce potem wszystkie wejścia były już strzeżone. Młodszy brat Awejdy, Jurek, przygarnięty przez brata, uciekając już późno w nocy, musiał wędrować po dachu jakiegoś budynku w ogrodzie Zamoyskich. Ale tamci dwaj ocaleli, a to było najważniejsze. Po godzinie 11-ej przyszła policya i zabrała mnie do cytadeli. W mieszkaniu nie znaleziono niczego. W parę dni później zabrano i posługującego nam Sebastyana Skarbka, stróża i przyjaciela naszego, człowieka, jak się mówi, prostego, nieumiejącego czytać, ale dużej sprawności w słowie i czynie, z gorącą miłością Ojczyzny i gotowością do poświęceń — rodem z Mrzygłoda za Częstochową. Dwa razy jeszcze potem: za sprawę zabójstwa Miniszewskiego i zamachu na Berga, wpadał Skarbek w szpony wojenno-sądowe; ale z wszystkich trzech wypadków wyszedł cało. Jemu zawdzięczam szybkie wydostanie się z więzienia. Zuchwałemi swemi zaprzeczeniami, jakoby u nas działo się cośkolwiek nielegalnego, poparł on moje własne — skutecznie dla siebie i dla mnie. Piękny ten typ

ludowy dopominał się pióra Bolesławity. Dziś, od lat 16-stu już (✝28 lutego 1891 r.) wdowa po nim, bardzo sędziwa, mieszka w Warszawie i w ciszy Starego Miasta przygotowuje się na drogę wieczności. 2)

Po wyjściu z cytadeli nie widziałem się już więcej z autorem pamiętnika. W „Materyałach do historyi powstania 1863-4 r." znalazłem ślady i dowody jego działalności, w pamiętnikach i zwierzeniach postronnych — kwas i cierpkość. Poczucie prawa, miłość własna, zawiść polityczna, godziły w Komisarza Nadzwyczajnego, który władzę swoją czuł jako swą własność i nie pozwalał jej sobie wydrzeć. Nie mam w tej sprawie sądu urobionego pod sąd historyi, ale mniemam, że najgłębsza wina zatargu nie tkwi ani w bezprawiu jednych, ani w niegodziwości innych (~~innych~~) — zwykły słownik stronnictw: szukać jej trzeba w niemocy, w upadku, w narodowem mieszczeniu.

2) Żyje jeszcze w lutym 1912. r.

do Słowacki mówi w „Anhellim", myśląc i o utarczkach emigracyjnych, to wypada powiedzieć o ostatnich chwilach powstania tak na widowni walki, jak i we wspomagających ją prowincyach.

Jeżeli czem Maykowski zawinił, to nieustosunkowaniem subjektywizmu swej władzy do objektywizmu powszechnej bezsilności. Na świecie zawsze już tak było, że tylko silny miał rozum. My w r. 1863 przeszliśmy zenit swej siły, rozumu i szczęścia pod Goszczą. W r. 1830-1 reakcya kierowała powstaniem; w r. 1863, dorwawszy się do niego na chwilę, odrazu je załamowała, wielką, zwłaszcza moralną, wyrządzając mu krzywdę. Nie zdołała go przecież w moc swoją pochwycić, kierunku jego spaczyć i prądu jego odwrócić: rozwijało się dalej w pierwotnym swym, rzetelnie uczuciowym kierunku i miewało nawet przebłyski powodzenia. Oszczerstwem radykalizmu jest szerzona uporczywie baśń, jakoby rząd czerwony działał w złej wierze i tylko dla pozoru zbroił oddziały i staczał walki. Krzy-

łactwo rozwiązuje w lot sprawy najzawilsze.

O dalszych losach autora pamiętnika, po wypuszczeniu go z Ołomuńca, dowiadywałem się od jego matki i siostry, które w latach 1866-9 w porze letniej widywały się z nim u krewnych w Poznańskiem. Tam Jan Maykowski wybrał sobie towarzyszkę życia, a przywiązany był do niej całą siłą swej natury i mocą swego charakteru. Na parę lat przed śmiercią (1897) Maryi Ilnickiej zawiązała się między nami korespondencya, po śmierci częstsza i coraz serdeczniejsza. W r. 1903 znalazłem w Rapperswylu pamiętnik; pozwolono mi do niego zajrzeć. W roku następnym odwiedziłem przyjaciela młodości w Oświęcimiu; przytłaczał go już wiek, zawodziła pamięć, zaczynał się już słaniać po ziemi; przeszłość migotała mu z daleka z poza mgły gęstej; nie dotykała już duszy, nie wprawiała jej w ruch. Opuszczałem Dom Kasy Ubezpieczeń i Oszczędności z „Memento mori" — tak dla mnie samego potrzebnem. We dwa lata później zmarł, d. 30 listopada 1906 r. we Lwowie, w domu państwa Piotro-

wiczów, z których córką ożenił się był syn jego, już jedyny wówczas, Stanisław, nauczyciel gimnazyalny.

Niniejsze wspomnienia Jana Maykowskiego, niewłaściwie w rękopisie nazwane „Pamiętnikiem", właściwie są tylko zbiorem odpowiedzi na kwestyonaryusz rozesłany około r. 1885 przez Artura Wołyńskiego, referenta Wydziału Spraw Zagranicznych w Rządzie Narodowym, z Florencyi do wszystkich główniejszych lub głośniejszych uczestników powstania. I na takim jeszcze poziomie trzymają się tylko ułamkowo: mamy aż dziesięć miejsc pustych, oznaczonych słowami: „opowiem ustnie", „bliżej wyjaśnię ustnie", a nieopowiedzianych i niewyjaśnionych w żadnym innym rękopisie lub druku. Stało się to niewątpliwie z krzywdą dla wiedzy historycznej w takich n. p. punktach, jak plan uderzenia na Modlin w postaci przedstawionej Komitetowi i plan powołania jednoczesnego na całem terytoryum (str. 28 [50.]), nowy lub dawniejszy plan Dąbrowskiego i niedojście jego do skutku (str. 36 [71.]), zniszczenie „Złotej Hramoty" napisanej

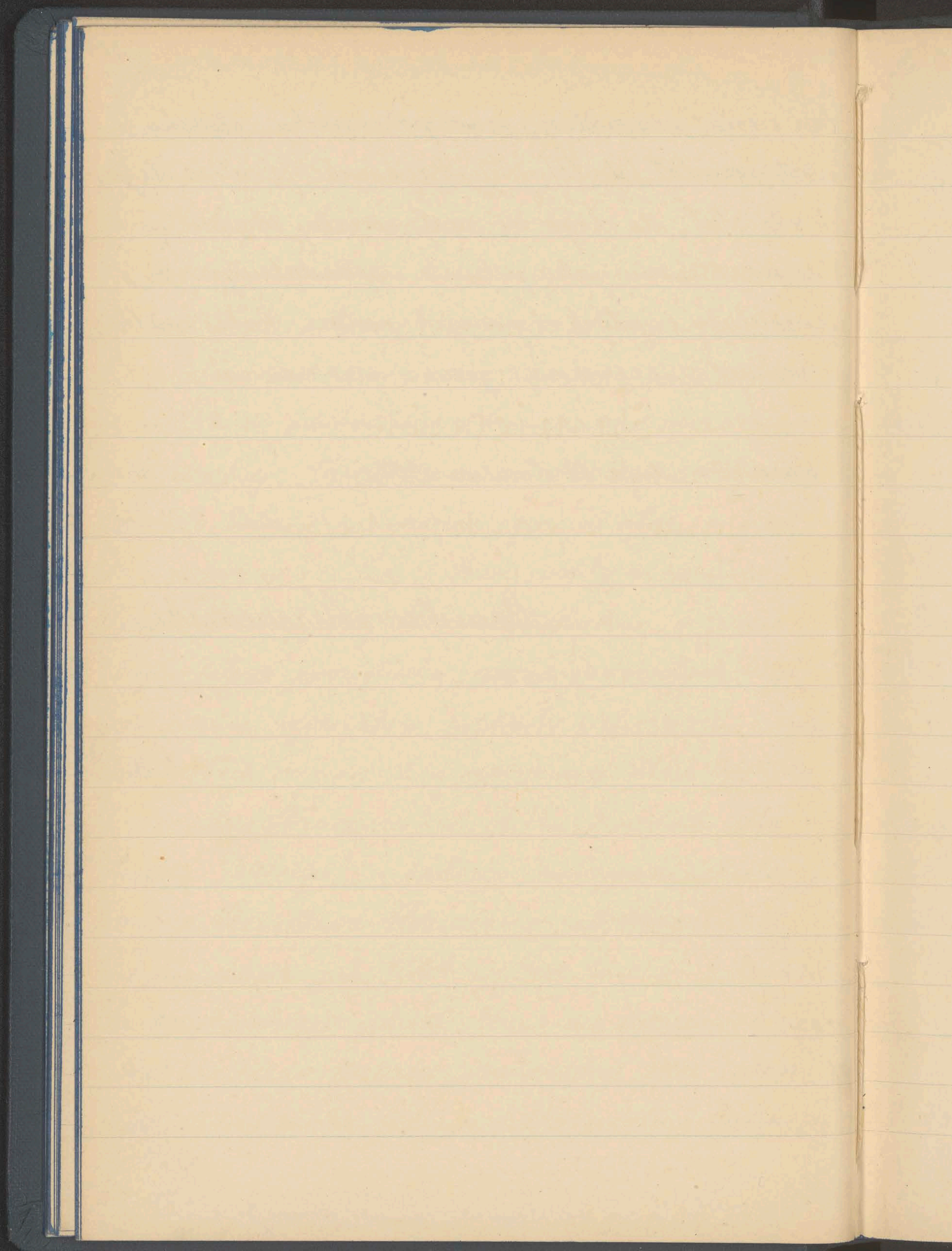
przez Maryana Sokołowskiego i zastąpienie tegoż Chamcem (str. 39 [77.]), oraz szczegóły wyprawy Wysockiego, Horodyńskiego i Minicewskiego (str. 39 [77.]).

Jedno jeszcze słowo. Zeznania spisane skromnie, powiedziałbym: pokornie, bez cienia chluby własnej, tem większą wzbudzają wiarę, im wyraźniej pokazują w autorze przekonanie o konieczności opóźnienia walki zbrojnej. Chwilową zmianę wiary politycznej wywołało bolesne rozważenie ogromu ofiar i strat, które zwłaszcza z Litwy i Rusi waliły w rozumy i serca polskie jakby taranem. Nigdzie, w jednej choćby literce pamiętnika, niema jadowitych bryzgów, niema wymysłów, szyderstw i złorzeczeń — tych bohaterskich czynów śliny zaprzańczej, które spotykamy w „Tece Stańczyka", w „Kilku Prawdach dla Narodu Polskiego", w historyi, historyach i historyjkach p. Stanisława Koźmiana młodszego. Nikt nie ma prawa, jak Julek w „Tece Nieczui", z Tartaru na Maykowskiego jęknąć. Umie on uszanować majestat wielkiego uczucia, prawowitość idei, przez którą dusza polska jedynie tylko rzetelnie polską

być może. Zmienił się prąd po wierzchu, głęboki nurt pozostał. (str. 23 [38.]) Jan Maykowski w całości tego, co zdziałał, do czego się rwał, w czem błądził — stoi przed nami jako jedna z najdodatniejszych, najrzetelniej czystych i jasnych postaci Roku wielkiego zamysłami, większego jeszcze nieszczęściem.

Warszawa, dnia 19 stycznia 1907 r.

Stanisław Krzemiński.



Pamiętnik

Jana Maykowskiego.

Na

krótce

Du

Ojciec

polskic

skich

W Wa

Na przedłożone mi pytania odpowiadam pokrótce w sposób następujący:

1. Dzień, miesiąc i miejsce urodzenia:

Dnia 28 maja 1828 r. w Warszawie.

2. Imię ojca, imię i nazwisko matki:

Ojciec mój Edward Maykowski, pułkownik wojsk polskich, dowódca Saperów, Matka Julia z Garczyńskich Maykowska.

3. Czas i miejsce odbytych nauk?

W Warszawie od 1838–1848 r.

4. Sprawowane urzęda, czas i miejsce.

Od września 1848 roku do 1863 pracowałem w Komisyi Skarbu w Wydziale Dóbr i lasów, ostatecznie na posadzie starszego adjunkta ekonomicznego z pensyą roczną 4000 złp.

5. Prace konspiracyjne przed rokiem 1863.

Po bolesnych zawodach lat 1846 i 1848 nastąpił długi, odrętwiający sen. Warszawa i cały kraj pogrążone były w bezmyślnych rozrywkach; młodzież zdemoralizowana i ogłupiona w moskiewskich szkołach, myślała jedynie o wieczorkach tańcujących i hulankach.

Rzadko kiedy spotykało się ludzi poważniejszych, bolejących nad upadkiem i poniżeniem kraju. Dopiero ważne, szybko po sobie następujące wypadki polityczne: wojna krymska, śmierć Mikołaja, wstąpienie na tron Aleksandra, wojna włoska rozbudziły z letargicznego uśpienia oświecone społe-

czeństwo. Najsilniej poruszyły umysły: zjazd cara z królem pruskim i cesarzem austryackim w Warszawie, oraz pogrzeb generałowej Sowińskiej, przy których to wypadkach, doszło do jawnych, publicznych demonstracyi przeciwko najezdniczemu rządowi. Młodzież, wstrząśnięta do głębi duszy, zaczęła myśleć, pracować i zbierać się w patryotyczne kółka, przygotowując się do dalszych czynów. Wówczas to w r. 1859 i 1860 miały miejsce za częste (parę razy na tydzień) wieczorki młodzieży, na których bywało po kilkadziesiąt osób. Na tych wieczorkach najwięcej zwrócili mą uwagę: 1. Karol Majewski (tak dobrze później znany), 2. Karol Nowakowski (ze szkoły Sztuk pięknych, zwany Ukraińcem, śpiewak młodzieży, szlachetny i dzielny, jeden z najgorętszych i najwięcej poświęconych, który później najbardziej się odznaczył w demonstracyach. Ranny 8. kwietnia przez Moskali, padł z krzyżem w ręku pod Zygmuntem, aresztowany i zesłany do Kamczatki). 3. Findeisen. 4. poeta Komar. 5. i 6. dwaj bracia Pieńkowscy, Adolf i Karol. 7. Olszewski Eugeniusz. 8. Stanisław Krzemiński. 9. Bolesław Żmijewski. 10. Ale-

ksander Adamowicz. 11. Szwagier mój Hnicki (później zamordowany przez rozbójników na Syberyi) i wielu innych. Sybiracy mieli swoje oddzielne kółko, na którego zebraniach byłem parę razy, mianowicie u Agatona Gillera. Po kilku miesiącach Karol Majewski, zaprosiwszy mnie i Żmijewskiego do siebie, oświadczył nam, że wieczorki posłużyły mu jedynie do bliższego poznania młodzieży i że teraz chciałby zorganizować coś poważniejszego. Zawezwał więc nas, abyśmy wybrali paru bliższych i pomocniejszych przyjaciół, co on również uczyni, i na następnem zebraniu omówimy projekt przyszłej organizacyi. Mieliśmy się zejść po paru dniach u Bolesława Żmijewskiego*. Znaleźli się tam: Piotr Umiński obecnie będący w Krakowie (który jednak nie chciał należeć do żadnego spisku i zaraz oddalił się), Karol Majewski, Aleksander Adamowicz, Edward Jürgens, gospodarz i ja. Jürgens oznajmił nam, że już ma kółko ludzi jednakowo z nim myślących, że, dowiedziawszy się o naszych zamysłach, przybył, aby nas powstrzymać od zakładania czegoś oddzielnego i skłonić do połączenia się z nim.

Był to człowiek rozumny, uczciwy i szlachetny, a nadewszystko tak porywającego daru wymowy i rzadkiej siły przekonania, że odrazu pociągnął nas ku sobie. Jeden tylko Karol Majewski oparł się i usunął.

Program Edwarda Jurgensa był następujący: Kraj znajduje się w najniższym upadku. Moskale traktują nas jak trzodę, należy więc rozbudzić społeczeństwo z upodlającego uśpienia, uczcić w sobie godność ludzką, stawiać jawny, legalny, silny, powszechny opór i zmusić rząd do nadania Królestwu rozległej autonomii.

Środkiem do tego celu miały być:

1. Obudzenie ducha we wszystkich warstwach narodu głównie zapomocą demonstracyi. W Warszawie przez obchód listopadowej rocznicy, w całym zaś kraju, w miastach i po wsiach przez najogólniejsze, najuroczystsze święcenie dnia 3. Maja.

2. Skłonienie całego kraju do przyjęcia za podstawę statutu organicznego, narzuconego Królestwu po 1831 roku, nigdy nie wprowadzonego w życie i nigdy oficyalnie nie zniesionego – do powoływania się na

niego we wszystkich stosunkach z rządem, stawiania legalnego oporu i zdobycia w ten sposób rozległej autonomii.

Jürgens przekonał nas, że w ówczesnem położeniu program ten był jedynie możebnym, łatwym do przeprowadzenia i rokującym wielkie w przyszłości korzyści. „My wszyscy – mówił on – zginiemy, żaden z nas nie dożyje lepszych czasów, o tem powinniśmy być najmocniej przekonani i pogodzeni z tą myślą. Mamy być tylko nawozem na ojczystej ziemi, który ją użyźni i przyczyni się do obfitego w przyszłości plonu".

Program powyższy rozentuzyazmował nas i całą duszą oddaliśmy się Jürgensowi. Nie był on naszym współtowarzyszem, ale mistrzem i kierownikiem, któremu okazywaliśmy ślepe posłuszeństwo. Człowiek ten, dotąd nieznany, ubogi, urzędnik niskiego stopnia, nagle zaczął wywierać ogromny wpływ na kraj cały. Andrzej Zamojski zbliżył się do niego, Komitet Towarzystwa Rolniczego zawiązał z nim stosunki, obywatele ziemscy radzili się go we wszystkiem, później

Wielopolski nawet usiłował go zjednać dla siebie, ofiarując mu posadę profesora w Puławach. Projektowano nawet dać Jürgensowi stałą pensyę, aby nie potrzebował pracować w biurze, lecz cały swój czas poświęcał na usługi kraju. — Ze swej strony niecierpliwsza młodzież skupiała się oddzielnie około Karola Majewskiego.

Ówczesna Warszawa podzieliła się na dwa obozy: Jürgenszczyków i Majewszczyków, pomiędzy którymi coraz większe wzrastało rozdrażnienie. Zaczęto podejrzewać Jürgensa, rzucać na niego oszczerstwa, nawet nazywać go agentem moskiewskim, synem szpiega i tym podobne wymyślano niegodziwości. — Tymczasem nadszedł Listopad. Jürgens polecił mnie, Bolesławowi Żmijewskiemu i Karolowi Nowakowskiemu, abyśmy się zajęli urządzeniem obchodu rocznicy listopadowej. Napisałem odezwę wzywającą lud do zgromadzenia się wieczorem 29/11 1860 pod kościołem Karmelitów na Lesznie, dla uczczenia pamiątki narodowego powstania. Przepisaliśmy ją na paręset rąk i rozdali pomiędzy młodzież. W oznaczonej godzinie zebrało się rozpa-

czmie mało, zaledwie kilkunastu, ale co chwila przybywało więcej. Szybko iluminowaliśmy posąg Matki Boskiej i wtedy tłum, wzrastając coraz bardziej doszedł do poważnej liczby paruset osób. Otoczeni dokoła przez policyę, uklękliśmy w błocie pod posągiem M. Boskiej i przeszło godzinę śpiewaliśmy chórem — za Karolem Nowakowskim — Boże, coś Polskę, Pieśń Konfederatów i inne. Nie zaczepieni przez nikogo, rozeszliśmy się śpiewając: „Jeszcze Polska nie zginęła!"

Odważny ten czyn młodzieży olśnił całą Warszawę; rozmawiano jedynie o tym wypadku, a Majewszczycy postanowili powtórzyć go w rocznicę bitwy Grochowskiej. Niechętny zbyt częstym demonstracyom, przytem jak już wspomniałem, mając zamiar urządzić w całym kraju ogólny obchód narodowego święta w dniu 3. maja (przygotowanie czego poruczył już nawet mnie i Findeisenowi) Jürgens usiłował udaremnić zamiar młodzieży. Wszystkie jednak nasze starania okazały się próżnemi. W rocznicę bitwy Grochowskiej zebrały się wieczorem na Starem Mieście kilkotysiączne tłumy; — z domu Kilińskiego wyszła pro-

cesya z pochodniami i chorągwiami, nastąpiło starcie z wojskiem i aresztowano kilku z młodzieży. Na trzeci dzień powtórzyły się jeszcze groźniejsze wypadki. Około dziesiątej rano zgromadziło się kilka tysięcy ludzi w kościele i przed Kościołem Karmelitów na Lesznie, skąd przez Długą ulicę i Stare Miasto ruszono ku Zamkowi, aby żądać wypuszczenia więźniów. Kilkunasto-tysięczny ten tłum został rozproszony przez kozaków, ale o paręset kroków dalej, na placu przed kościołem Karmelitów [3] na Krakowskiem przedmieściu, zaszło krwawe starcie z wojskiem pod dowództwem generała Zabołockiego i zamordowano pięć ofiar niewinnych z ludu. Dnia 2. marca odbył się wspaniały ich pogrzeb, a potem nastąpił cały szereg demonstracyi, których, jako znanych ogólnie, nie będę tu opisywał. Warszawa od

---

3) Pomiędzy kościołem Karmelitów a Towarzystwem Dobroczynności, u ujścia wązkiej szyi, która wówczas łączyła placyk przed Kościołem z szerokiem Krakowskiem Przedmieściem prowadzącem już bezpośrednio do Zamku, mniej więcej na linii ulicy Bednarskiej. S. K.

wieku katowana przez carskich zbirów, mając tyle lat zakneblowane usta, szalała teraz najgorętszym, najszczytniejszym, niczem nie powstrzymanym zapałem. Wszystkie serca uderzały gorętszem tętnem, wszystkie oczy zachodziły łzami wzruszenia, wszystkie dusze były gotowe do poświęceń. W ten sposób upłynęło kilka miesięcy słodkiego, rozkosznego upojenia, po których, niestety, miało uderzyć tyle okrutnych ciosów. Och! kwiat świętej miłości Ojczyzny wymaga koniecznie aby go podlewano krwią i łzami! Wtedy rozwija się bujnie, rozkrzewia i zakwita w coraz liczniejszych sercach, zapuszczając w nie coraz głębiej korzenie. Nieraz później potępiano te – jak mówiono – szalone i bezużyteczne ofiary i może w istocie nie godzi się ich nadużywać, ale nie sądzę, aby miały być one bezpłodnemi. Kraj, który, jak nasz, przechodził takie koleje męczeństwa, nigdy nie zginie, a tak zwane organiczne prawa tam tylko mogą być dotrzymane, gdzie uprawili grunt tacy, jak wówczas szaleńcy. Inaczej naród by zamarł, zatył i Bóg wie jak nisko byśmy upadli, gdyby mądra zasada Stańczyków przyjętą ogólnie

została. Ale powracam do rzeczy.

W owych czasach aresztowano Jurgensa i uwięziono w cytadeli warszawskiej, gdzie też wkrótce umarł 4), niewątpliwie zamordowany przez Moskali. Rozproszeni jego zwolennicy popłynęli z ogólnym prądem wypadków, porywających wszystko za sobą. Ja osobiście przyjmowałem w nich również udział, nie należąc jednak do żadnego sprzysiężenia, którego zresztą jeszcze wówczas nie było. Dopiero później nieco wytworzył się Komitet Centralny 5), który rozpoczął organizować w całym kraju sprzysiężenie, do którego jednak z początku nie należałem. Wprawdzie raz polecono mi, abym się udał do Narzymskiego, — autora drama-

---

4) D. 2. sierpnia 1863 r. „Zamordowaniem" niewłaściwie użytem mogło być w rzeczywistości trzymanie w murach wilgotnych, złe leczenie, lub nawet zupełne zaniedbanie. Ciało zmarłe wydano z Cytadeli. Spoczywa ono dziś na cmentarzu ewang.-augsburskim, za rogatkami wolskiemi Warszawy. S. K.

5) Centralność rozumieć potrzeba jako pośrodkowość

tycznego — dla porozumienia się z nim w sprawach krajowych, ale nie przyszło do zgody, on wydał mi się zbyt lekkomyślnie czerwonym, ja jemu ostrożnie białym; rozeszliśmy się więc bez żadnego skutku.

W tym czasie mieszkałem razem z Oskarem Awejdą, o którym wiedziałem, że należy do Komitetu Centralnego, ale z poczucia obowiązku nie mówiliśmy o tem. Dopiero później, zdaje mi się w początku październikа, Awejda i drugi członek Komitetu (nazwiska nie mogę sobie przypomnieć, wiem tylko, że był to ten sam, który na posiedzeniach Towarzystwa Rolniczego miał głośne wówczas starcie z Walewskim) dali mi instrukcyę i wysłali jako swego agenta na zjazd

---

w samej Warszawie, gdzie na żyznym gruncie żądz narodowych bujnie puszczały zamysły organizacyjne i same organizacye dla powstających w ten sposób Komitetów cząstkowych; ten, który „Centralnym" nazwano, miał być pośrodkowym, leżącym na osi wiru.

S. K.

księży, dyecezyi siedleckiej, z poleceniem zjednania ich dla Komitetu Centralnego. Wyjechawszy z Warszawy przybyłem, jak mi polecono do właściciela wsi Zakrzewskiego, – który po wybuchu powstania zebrał oddział i zaraz w pierwszych dniach poległ na jego czele. Ten zawiózł mnie do probostwa, w którem, korzystając z odpustu, odbywał się zjazd przeszło 100 księży. Po przeprowadzonej dyspucie, wszyscy bez wyjątku przyłączyli się do t. z. stronnictwa Czerwonych, żądając tylko, aby do Komitetu Centralnego wstąpił jeden z duchownych. Zacni księża byli tak pełni zapału, że kilkunastu z nich odprowadziło w nocy, już nad ranem mnie, nieznajomego agenta, do stacyi pocztowej, przeszło milę drogi. Zaraz po mym powrocie, Komitet wysłał do innej dyecezyi – zdaje mi się Sandomierskiej – Józefa Janowskiego, a wkrótce potem Awejda wezwał nas obu (pojedynczo) do wstąpienia do Komitetu Centralnego. Nie czując się odpowiednio uzdolnionym, długi czas wzbraniałem się, ale w końcu musiałem ulec, szczególniej gdy Oskar powiedział mi, że zostałem jednogłośnie wybranym przez wszystkich

wydziałowych, którzy stanowczo żądają mego wstą-
pienia. (Później to samo powiedział mi Tytus Zien-
kowicz, obecnie zamieszkały we Lwowie, jeden z ówcze-
snych wydziałowych), że nie wolno mi odmówić, że
wreszcie wstąpienie moje i Janowskiego ważnem jest
z następującego powodu: On tylko, t. j. Awejde, i Gil-
ler Agaton jest za dłuższem przygotowaniem kraju,
inni zaś prą do natychmiastowego powstania; aby
więc nie dopuścić do przedwczesnego wybuchu, coby
było nieobliczonem dla kraju nieszczęściem, postano-
wili przybrać nas, jako jednakowo z nimi myślących
dla stawienia skutecznego oporu Niecierpliwym.

Uległem i wstąpiłem do Komitetu Centralnego.

6. Data wstąpienia do Komitetu i na czyje miejsce.

Wstąpiłem do Komitetu w końcu października
lub w listopadzie, daty nie pamiętam, łatwo jednak
oznaczyć ją już to z podania Józefa Janowskiego, już to
z historyi Gillera, wszystkie bowiem moje papiery, któ-
rych miałem znaczną liczbę, zostały zatracone po mo-

jem uwięzieniu. Szczegółu co do niego poprzednika w Komitecie Centralnym również nie jestem pewny. W owym czasie członkowie jego zużywali się szybko. Chmieliński poza granicą kraju, Witold i Bronisław Marczewscy (uwięzieni, ale później dopiero), Schwartze (stracony) [6], Jarosław Dąbrowski (w cytadeli), Narzymski, Wernicki i wreszcie ów, niewiadomego mi nazwiska, który mnie wysłał na zjazd księży. Otóż prawie z pewnością obaj z Janowskim wstąpiliśmy na miejsce tych dwóch ostatnich. Do ówczesnego Komitetu Centralnego oprócz mnie i Józefa Janowskiego należeli jeszcze: Agaton Giller, Oskar Awejda i Zygmunt Padlewski. W kilkanaście dni później przybył jeszcze Stefan Bobrowski, który jednak, lubo uczęszczał na posiedzenia, nie należał do składu Komitetu, będąc tylko naczelnikiem miasta Warszawy. Zastaliśmy dość smutne położenie. Organizacya liczna i silna przeprowadzona w całym kraju z gorączkową niecierpliwo-

---

6/ Uwięziony w Szliselburgu; po uwolnieniu mieszkał we Lwowie, gdzie + 1904 r. d. 18 lutego.

ścią oczekiwała hasła do wybuchu. Żądano go natarczywie, czyniono wyrzuty Komitetowi Centralnemu, a nawet często przybywano na zebrania z groźbami, domagając się oznaczenia stanowczego terminu. Tymczasem nie było prawie żadnych przygotowań do powstania, nawet nie istniał ściśle obmyślany plan jego. Widocznem było, że musi ono nastąpić, i to wkrótce, znajdowaliśmy się bowiem na pochyłości, na której niepodobna się było zatrzymać.

Z drugiej strony Komitet Centralny, szczególniej od chwili ogólnego oddania się duchowieństwa pod jego rozkazy miał w swych szykach ogromną siłę, którą gdyby był umiał wyzyskać, mógł był w kilku miesiącach urzeczywistnić ideał narodowy, poruszyć cały lud i przygotować potężne powstanie, zdolne skruszyć zachwianego już najeźdźnika i wyrwać kraj z niewoli. Do tego jednak trzeba było ludzi nadzwyczaj zdolnych, a przynajmniej jednego genialnego człowieka, czego właśnie, niestety, brakowało. Rzucam krótką charakterystykę członków Komitetu Centralnego, przyczem chcę być ściśle sprawiedliwym, ani zbyt pobła-

żliwym, ani zanadto surowym. Do żadnego z nich nie miałem niechęci, żalu lub urazy, a niektórych nawet serdecznie kochałem.

1. Agaton Giller, gorący syn ojczyzny, dla której całe życie cierpiał i poświęcał się, silniejszy w ustach i w piórze niż w czynie, przytem zbyt wiele rozumiejący o swych literackich zdolnościach. Zapewniał mnie raz, że program, który napisał, wydrukowany w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy i że wyrażenie „Rząd najeżdniczy" on pierwszy wziął i rozpowszechnił. On to był twórcą owego projektu dyslokacyi (zdaje mi się że nazwał to inaczej) zagrożonych poborem, o którym był przekonany, że jest genialnym, a który jednak innym członkom Komitetu wydał się niedorzecznością. Długi czas będąc jednym z kierowników sprzysiężenia, dążącego do powstania, które nieodzownie musiało nastąpić, nie chciał słyszeć o powstaniu, a gdy mówiono o zabiciu Wielopolskiego, demonstracyjnie wychodził do drugiego pokoju. Rozumiałem ludzi pragnących powstania i nie wątpiących o zwycięstwie, rozumiałem i tych, którzy nie wierzyli we własne siły

narodu i chcieli jedynie podnosić go, oświecać i wzbogacać, ale Gillera nigdy nie mogłem pojąć.

2. Zygmunt Padlewski niewątpliwie szczerze kochał ojczyznę, lecz służba w wojsku moskiewskim uczyniła go lekkomyślnym, i powierzchownym. W ruchach i słowie pozował na wielkiego wodza, jednak nie sądzę, aby miał rzeczywiste wyższe zdolności.

3. Oskar Awejde serdecznie dobry, miły, spokojny, cichy i sympatyczny, niezdolny do poróżnienia się z kimkolwiek. Łatwy do przekonania, ustępował każdemu, a przynajmniej nigdy się nie sprzeczał. Rozmawiając z białym, stawał się białym, wobec czerwonego czerwieniał, a że przytem mówił niewiele i miał wzrok zamyślony, jakby skierowany na wewnątrz, wielu pod tą powierzchownością odgadywało niezmierną głąb, która, niestety, była dość płytką. Główną cechą tego człowieka była wielka dobroć, połączona z niepojętą słabością i nieraz mówiłem mu, że przy takim charakterze, nigdy nie powinien był przyjmować udziału w sprzysiężeniu. Zmużenie fizyczne, szczególnie niewyspanie obezwładniało go

do tego stopnia, że otoczony przez Moskali, przed którymi mógł jeszcze uciec, gotów był położyć się, aby się tylko przespać godzinkę, chociaż wiedział, że obudzi się w rękach wrogów.

4. Józef Janowski najgorętszy, najbardziej poświęcony patryota, prawy, szlachetny, odważny, był bardzo słabych zdolności, lubo później, jako członek Rządu Narodowego uwierzył w swą wielkość.[7] Był on tak gotowym do ofiar, że na każde wezwanie, bez wahania, bez chwili namysłu, gotów był wskoczyć w ogień i wodę.

5. Jan Maykowski wreszcie również słabych zdolności, o czem wiedział dobrze i nigdy się nie łudził.

6. Ze wszystkich członków Komitetu Centralnego, Stefan Bobrowski, naczelnik miasta Warszawy był niewątpliwie najzdolniejszym. Człowiek ten zdawał się

7.) Zdolności nie miał uderzających, ale miał niezbędne do działania. W swe znaczenie wierzyć szczególnie nie potrzebował, bo je rzeczywiście miał i wszyscy je widzieli; w wielkość swą nigdy nie dał. Jakże-by mógł być „goto-

być stworzonym na konspiratora. Ruchliwy, wytrwały, niezmożony, pełen inicyatywy, odważny prawie do lekkomyślności, poruszał się wśród ciągłych niebezpieczeństw, jakby w swoim żywiole. Przed wybuchem powstania i później wiecznie miał po kieszeniach pełno pistoletów, rewolwerów i sztyletów, [8] które zbierał dla powstańców i nieraz czyniliśmy mu uwagę, że na ulicy wysuwała mu się na widok lufa albo ostrze. Podwładnym swoim za miejsce schadzki naznaczał najczęściej kawiarnie, cukiernie, lub restauracye. W oznaczonej godzinie wpadał szybko, przybiegał do tego lub owego, szeptał parę minut po cichu i wydawał rozkazy, zwracając na siebie uwagę wszystkich. Kilkakrotnie do-

---

wym do ofiar", „gotowym wskoczyć w ogień i wodę."

S. K.

[8] Liczba mnoga nie na miejscu. W istocie miał Bobrowski po kieszeniach pełno papierów kompromitujących, a często i broń krócicową lub sztylet.

S. K.

szło do wiadomości policyi, że naczelnik miasta Grabowski – pod tem nazwiskiem był on znany – będzie o tej godzinie w tej lub owej cukierni. Policya narodowa ostrzegała go, że ma tam być aresztowany.

Bobrowskiego bawiło to niesłychanie i spotkawszy mnie na ulicy, zaprowadził przed ową cukiernię, ciesząc się widokiem wpadających do niej policyantów i żandarmów. Zaledwie zdołałem go odciągnąć i uprowadzić ze sobą. Był tak ogólnie znany w mieście, że gdy szedł przez ulicę zawsze niedbale ubrany i podobny do arsenału, [metafora hyperboliczna St. Krz.] przechodzący obracali się za nim, szepcąc: – „Patrz, patrz naczelnik miasta Grabowski". Nadewszystko nie ufał starej emigracyi, dawniejszym znakomitościom narodowym, szczególniej Mirosławskiemu i był najmocniej przekonany, że podczas powstania z pośród młodzieży wypłynie genialny wódz ludowy, który wypędzi Moskali. Zginął z ręki Grabowskiego w pojedynku odbytym w Poznańskiem. Gdyśmy usiłowali niedopuścić

do tego, używając nawet rozkazu, jako członkowie Rządu Narodowego nie chciał ustąpić i wziąwszy na bok mnie i Awejdę powiedział: – „Jeżeli zginę, wina spadnie na Agatona Gillera, on to bowiem w Krakowie stał się przyczyną, że musi przyjść do pojedynku." Po tym wstępie – (który bliżej wyjaśnię ustnie) – powracam do rzeczy.

W drugiej połowie grudnia, a raczej w końcu, otrzymaliśmy od Jarosława Dąbrowskiego z cytadeli plan powstania, wypracowany w więzieniu cytadeli warszawskiej. Rozpadał się na 2 części, a trzecią dodał Stefan Bobrowski. Ta była wyłącznie jego pomysłu.

1. Wzięcie Modlina (które wyjaśnię ustnie).

2. Powstanie jednocześnie w całym zaborze moskiewskim (wyjaśnię ustnie).

3. Pochwycenie księcia Konstantego z całą rodziną (wyjaśnię ustnie).

Plan ten, którego drugą część poprawili i uzupełnili członkowie Komitetu Centralnego wydał się nam tak doskonałym, tak łatwym do przeprowadzenia

i rokującym niechybnie powodzenie, że wszyscy byliśmy olśnieni i z zapałem postanowiliśmy go przyjąć, oznaczając jednocześnie termin na 23. marca 1863 roku. 9) Jeden tylko Agaton Giller stanowczo sprzeciwił się i pomimo, że przegłosowanym członkom nie wolno było usuwać się samowolnie, wystąpił z Komitetu. Na jego miejsce, stosownie do umowy z duchowieństwem, przyjęliśmy ks. Mikoszewskiego, wikaryusza parafii Św. Aleksandra, nieszczęsną omyłką wybranego przez Awejdę. Był to człowiek niesłychanie próżny, bez żadnych zdolności, a nawet wykształcenia, przytem nikczemnego charakteru, jak się później okazało, tylko arogant, strojący się w cudze piórka i wydający się przed wszystkimi za redaktora „Głosu kapłana polskiego", pisma tajnego najlepiej redagowanego – co było wierutnem kłamstwem. Tak zmieniony częściowo Komitet Centralny, energicznie

---

9) Ta data, mało komu wiadoma, jest niewątpliwą i słyszałem ją od Awejdy i od samego Maykowskiego. S. K.

zajął się ŭrzeczywistnieniem przyjętego przez siebie planŭ, a przedewszystkiem napisaniem odezw do biskŭpów i instrŭkcyi dla księży, — co wykonał Awejda — a według której wszyscy proboszcze w całym krajŭ mieli wprowadzać do sprzysiężenia lŭd wiejski. I dziś jeszcze po 20 przeszło latach, mam to przekonanie, że gdyby niespodziewany pobór nie sparaliżował wszystkiego, bylibyśmy przeprowadzili przygotowania i w oznaczonym terminie lŭb późniejszym nieco (gdyby przedłŭżenie okazało się potrzebnem) wybŭchłoby powstanie, prawie powszechne, które przyniosłoby całkiem inne owoce! — Ale, niestety, Wielopolski, najrozŭmniejszy ze wszystkich naszych wrogów, ŭderzył w samo serce własną ojczyznę i przekonawszy rząd moskiewski o konieczności zarządzenia w królestwie poborŭ, zmŭsił sprzysiężenie do przyspieszonego, bez żadnego przygotowania wybŭchŭ. — Około połowy stycznia 1863 rokŭ, zdaje mi się w noc z 14-go stycznia, środy, na 15-ty, czwartek, przeprowadzono w Warszawie pobór, pochwyciwszy w nocy mnóstwo młodzieży, z której większość należała do

spisku. Był to straszliwy cios. Cały urok, otaczający Komitet Centralny — który jeszcze w czerwcu 10) nierozważnie zapewnił kraj, że w żadnym razie nie dopuści do poboru — znikł odrazu; zrozpaczony lud przeklinał głośno członków Komitetu, posądzając ich o zdradę. Nastąpił zupełny upadek na duchu. Wobec takiego położenia, powstanie stało się niepodobnem. Głęboko przekonany, że byłoby ono nietylko wielkim błędem, ale wprost zbrodnią nie do przebaczenia, na najpierwszem posiedzeniu — nazajutrz po poborze — wystąpiłem z następującym projektem: Komitet Centralny, skompromitowany wobec kraju, nie może dłużej istnieć, a dla zrehabilitowania chorągwi, którą dotąd wszystko trzymał, powinien koniecznie upaść z godnością. Wybierzmy więc pięciu następców, oddajmy im wszystkie nici i jako testament przekażmy im plan powstania, który z czasem da się urzeczywistnić.

---

10) W czerwcu 1862 nie było jeszcze zamiaru branki. Zapewnienie dał Komitet Centralny dopiero we wrześniu 1862 r. S. K.

Kraj musi przeboleć klęskę poboru, aż wzmocniony i odpowiednio przygotowany, będzie mógł pomścić wszystkie zadane mu ciosy i odzyskać niepodległość. Nam jednak nie wolno żyć! Wydajmy manifest do narodu, wybierzmy z resztek organizacji warszawskiej kilkudziesięciu dzielnych i na ich czele rzućmy się na pałac Brühlowski, aby zabić zdrajcę Wielopolskiego i razem z nim zginąć.[11] To jest dziś najświętszym naszym obowiązkiem i jedynym środkiem ocalenia kraju od klęski.

Projekt ten został przez wszystkich odrzucony. Stefan Bobrowski powiedział, że jest to projekt rozpaczy, iż nam nie wolno rozpaczać, bo tu nie idzie o nas tylko o kraj. Padlewski szyderczo odezwał się do

---

11.) Maykowski w swojem zwierzeniu się mnie we wspólnem naszem mieszkaniu u Zamoyskich, o zmierzchu d. 16-go stycznia w piątek, nie wspomniał mi ani jednem słowem o żywionym zrazu zamiarze zabicia Wielopolskiego, ale za to bardzo wyraźnie i stanowczo mówił o zamierzonem, bynajmniej jeszcze

mnie: — „Widzę, że umiesz tylko pisać odezwy, ale gdy przychodzi chwila czynu, chcesz się cofać." — Mikoszewski najusilniej protestował. Janowski również nie zgadzał się, nawet Oskar Awejda opuścił mnie, lubo wpierw, przed posiedzeniem, przekonany przeze mnie, obiecał popierać mój projekt. Wzamian za to postanowiono ogłosić powstanie, wyznaczając termin za kilka dni to jest 22/3 stycznia 1863 roku. Kilkodniowa zwłoka użytą została na przesłanie odpowiednich rozkazów po całym kraju i przygotowanie manifestu do narodu. — Z rozpaczą w sercu poddałem się większości, ale stanowczo oświadczyłem, że lubo nie usuwam się, jednak przestaję być członkiem Komitetu i jestem tylko jego sekretarzem. Janowski,

---

nie zaniechaniem, do przyszłości najbliższej jeszcze, a nie do przeszłości któraby już minęła, należącem oddaniu się całej zbiorowości kierującej ruchem na owo całopalenie, mające uciszyć sumienia. Zwierzenie się przyjaciela przyjmowałem z odczuciem tragizmu, przygniatającego mu duszę i z wrażeniem zasięganej u mnie

Awejda i Mikoszewski zgodzili się na to, a że Padlewski wyjeżdżał z Warszawy, jako dowódca oddziału, Bobrowski zostawał nadal naczelnikiem miasta, nikt zaś inny (nawet brat Janowskiego) nie chciał wstąpić do Komitetu, na przyszłość więc było tylko trzech jego członków. Ponieważ zaś „Rząd Narodowy – tak się miał tytułować od chwili powstania i być jawnym – wraz ze swoim sekretarzem stanu mieli w wigilię powstania wyjechać i dostawszy się do obozu tego oddziału, który okaże się najważniejszym, obrać przy nim miejsce pobytu i urzędowania – utworzono więc komisyę, mającą w Warszawie zastępować Rząd Narodowy, której przełożonym został zamianowany naczelnik

---

rady: robić czy nie robić – ginąć czy żyć dalej. Nie zachęcałem do życia, nie odwodziłem od śmierci. Samo napięcie struny dziejowej, tak wielkie, że pęknąć musiała niezależnie od szalonego, nierozumnego, a zbrodniczego zamachu Wielopolskiego na młodzież polską, było dla kraju narodowem nie-

miasta, Stefan Bobrowski.

Posiedzenie Komitetu Centralnego, na którem przedłożyłem powyższy projekt, odrzucony przez innych i na którem zapadła uchwała powstania w dniu 22/23 stycznia, wreszcie okoliczność, że od owej chwili nie byłem już członkiem Rządu Narodowego, ale tylko sekretarzem stanu, są dla mnie najbardziej ważnemi, tem więcej, że obecnie mało kto wie o tem. Giller wcale nie znał tego ustępu, Padlewski i Bobrowski zginęli, Mikoszewski przeszedł do Moskali, Awejda Bóg wie gdzie jest i czy żyje jeszcze, a Janowski nie wiem czy przypomina sobie ten szczegół. Zresztą ja jeden tylko jestem bardzo interesowany, aby okoliczność powyższa nie została pominiętą.

---

szczęściem. Józef Kajetan Janowski, uczestnik posiedzeń Komitetu Centralnego, świadek tego, co w strasznych dniach 15–18go stycznia 1863 mówiono w Komitecie, w przypisku do listu mego z d. 5 grudnia 1910 r. z Warszawy pisze dosłownie: „Maykowski, zdenerwowany, mówił, że należy wydać proklamacyę wzywającą

7. Przygody moje i Awejdy od wyjazdu z Kutna do powrotu do Warszawy. – Dzień wyjazdu z Kutna i dzień powrotu do Warszawy.

Wieczorem 21. stycznia na kilka godzin (całą dobę) przed wybuchem powstania trzech członków Rządu Narodowego i sekretarz stanu wyjechali koleją z Warszawy do Kutna. Mikoszewski, siedzący w innym wagonie, zniknął zaraz w początku podróży i przez długi czas nie ukazywał się wcale. Dlategoteż nie będę o nim więcej wspominał, wzmiankuję tylko, że w kilkanaście dni po powrocie naszym do Warszawy, zjawił się znowu nagle, chcąc mieć udział

---

lud do zgromadzenia się u św. Krzyża, stamtąd po nabożeństwie pójść do Zamku z żądaniem wydania zabranego rekruta. My sami zginiemy, lecz dla utrzymania nici trzeba wybrać 5^{ciu} ludzi, tym powierzyć przygotowanie narodu do powstania... Po długich przekonywaniach Majkowski cofnął wniosek. Tak tę

w rządzie, lecz usunęliśmy go stanowczo, bez ogródek i wypowiedziawszy mu całą prawdę.

Po tym wstępie powracam do dalszego toku opowiadania:

W Kutnie zatrzymaliśmy się zaledwie parę dni, gdyż w małem miasteczku zjawienie się trzech obcych ludzi, (Awejde, Janowski, Maykowski,) bezustannie porozumiewających się z przybywającymi do nich posłańcami, musiało obudzić czujność Moskali, którzy nawet wybierali się aresztować nas. Uprzedzeni w porę przez organizacyę narodową, udaliśmy się do Łodzi, gdzie od Agentów naszych otrzymaliśmy dość szczegółowe raporta o położeniu kraju i stanie powstania. Najsilniej wybuchło ono w guberniach Lubelskiej i Radomskiej,

---

sprawę zapisałem w „Pamiętniku". (Obszerne dzieło o Ruchu Narodowym 1859 do 1864 r. J. K. Janowski zostawia w rękopisie.) Działo się to w mieszkaniu X. Mikoszewskiego".

S. K.

szczególnie w tej ostatniej, gdzie Langiewicz zgromadził pod św. Krzyżem paro-tysięczny oddział. Postanowiliśmy więc przerznać się do jego obozu i po trzech dniach przepędzonych w Łodzi, wyruszyliśmy w dalszą podróż. W Tomaszowie przenocowaliśmy u miejscowego proboszcza, skąd na drugi dzień rano ja z Awejdą pojechałem na Opoczno, Janowski zaś z towarzyszącą mu żoną udał się inną drogą. W Opocznie zastaliśmy powstańczy oddział złożony ze 600 ludzi, pod dowództwem Łakińskiego. Znajdował się przy nim jakiś Sybirak, którego Łakiński mianował Komisarzem cywilnym przy swoim oddziale. Był to człowiek niewątpliwie uczciwy, ale nadzwyczaj ograniczony. Przeglądając nasze legitymacye, powziął jakieś niedorzeczne podejrzenie i z uporem namawiał dowódcę do zatrzymania nas, dopóki się rzecz nie wyjaśni, to jest do powrotu wysłanego natychmiast do Langiewicza posłańca. Łakiński wprawdzie nie podzielał podejrzeń swego komisarza, jednak prosił nas, abyśmy się u niego zatrzymali przez parę dni: wszędzie w okolicy stoją małe oddziałki Moskali, które nas z pewnością pochwy-

cą, a ponieważ i on również wyruszy za dwa dni dla połączenia się z Langiewiczem, bezpieczniej więc będzie odbyć podróż pod osłoną jego oddziału. Chcąc, nie chcąc (a zresztą i przekonani jego słowy) ulegliśmy i zgodzili się na dwudniową zwłokę. Łakiński czekał jedynie na żelazne działo, które miało już być ulane we fabryce i dziś jeszcze z pewnością dostarczone. Wistocie po kilkunastu godzinach ułani przyprowadzili do obozu działo. Znalazł się i artylerzysta, wysłużony żołnierz z moskiewskiego wojska, który z ochotą przyjął służbę w szeregach narodowych. W ogólności oddział Łakińskiego był względnie wcale nieźle wyćwiczony, a ludzie pełni zapału. Uzbrojenie tylko pozostawiało wiele do życzenia. Widok tej poczciwej garstki – i innych później – przekonał mnie, że żaden w świecie naród nie ma tyle wrodzonej zdolności do żołnierskiego zawodu, ile my Polacy, i że w razie przyjaznych okoliczności pod rozumnym i energicznym kierownikiem, w ciągu paru tygodni, możnaby zorganizować wielką narodową armię, zdolną stawić zwycięski opór najlepszym europejskim wojskom. – Młody jednak do-

wódca nie budził w nas zaufania. Niewątpliwie był on dobrym patryotą, ale nie dorósł do swego stanowiska. Gdy wraz z Awejdą nagliłem go, aby głównie i nadewszystko zajmował się przeprowadzeniem uwłaszczenia włościan, ogłaszając je wszystkim gminom i pilnując, aby właściciele dóbr ściśle spełniali odnoszący się do tego rozkaz Rządu Narodowego, odpowiedział nam, że to jest rzeczą władz cywilnych, on zaś ma co innego do czynienia. Inni [12]) dowódcy zaniedbywali również tę sprawę, a jednak miała ona pierwszorzędne znaczenie. Było to przecież nasze pierworodne dziecko i gdybyśmy mieli wypielęgnowane je troskliwie, powstanie mogło było jeszcze przybrać szersze rozmiary, a nawet w razie ostatecznego upadku przyniosłoby w przyszłości nieobliczone korzyści. Ale powracam do Łakińskiego. — Właśnie nawet oficerowie jego uważali go za słabego i niezdolnego, gdy podczas pochodu pod S. Krzyż kilku z nich

---

12.) Tego powiedzieć nie można w znaczeniu rozciągliwem, zwłaszcza, gdy chodzi o czasy późniejsze i inne okolice. S. K.

namawiało mnie do objęcia dowództwa nad oddziałem, lubo znali nas jedynie z rozmowy i gorliwego zajmowania się kosynierami. Naturalnie, odrzuciłem ich propozycję i skłoniłem do posłuszeństwa Łakmińskiemu, choć czas okazał, że mieli słuszność, nie ufając mu. — Podczas dwudniowego pobytu w Opocznie, poświęconego ćwiczeniu oddziału i wyprawom na podsuwających się pod samo miasto Kozaków — nie spaliśmy prawie zupełnie.

Obie bowiem noce Moskale kilkakrotnie alarmowali oddział, który prawie do rana stał pod bronią, gotowy do walki. Wraz z Awejdą znajdowaliśmy się przy kosynierach na mostku, pod miastem. Na trzeci dzień rano oddział wyruszył ku Końskim, dokąd przybyliśmy zaraz po południu. Korzystając z kilku-godzinnego zatrzymania się w miasteczku, rzuciliśmy się obaj na sofy dla przespania się choćby z godzinkę. Łakmiński przyrzekł obudzić nas przed wyruszeniem w pochód. Tymczasem zerwawszy się po paru godzinach i wyjrzawszy na rynek, gdzie był rozstawiony oddział, zobaczyłem bolesny widok: cały plac usłany

lancami, pikami, kosami, armata na środku, ale ani jednego powstańca.

Zapomniałem powiedzieć, że podczas marszu z Opoczna, Łakiński dowiedział się od przejeżdżających obywateli i swoich szpiegów – i zaraz zawiadomił nas, – że Moskale, rozbiwszy Langiewicza pod S. Krzyżem, ze wszystkich stron ciągną na niego.

Pomimo tego zapewniał, że nie myśli rozwiązywać oddziału i potrafi przebić się przez otaczające go wojska. Otóż teraz, korzystając z naszego snu, rozpuścił powstańców i porzuciwszy broń oraz działo, uciekł i pozostawił śpiących na łup zbliżającym się wrogom. Pobiegłem na miasto, chcąc wystarać się o furmankę, ale mieszczanie, przerażeni wieścią o zbliżaniu się Moskali, obawiali się dać konie. Po długich poszukiwaniach znalazłem wreszcie szlachetnego człowieka, który lubo miał w domu chorą, prawie już konającą żonę, wzruszony mojemi słowy, zaprzągł do wózka i pojechał z nami. Bocznemi drogami dostaliśmy się pod Opoczno do starosty Opoczyńskiego*, dobrze znanego mi

* Kto to? [St. Krzem.]

starca, dzierżawcy dóbr rządowych. Przyjął on nas gościnnie, wziął w depozyt kilkadziesiąt tysięcy rubli, oraz blankiety z pieczęcią Rządu Narodowego i wyprawił podróżnych w dalszą drogę pocztowemi końmi. Awejde, śmiertelnie znużony, nie chciał dalej jechać i prawie przemocą wsadziłem go na bryczkę. — Stąd wśród wielu niebezpieczeństw i kilkakrotnie wpadając w ręce Moskali, przez Tomaszów dostaliśmy się do stacyi kolei żelaznej i następnie wprost do Warszawy, przekonaliśmy się bowiem, że Rząd Narodowy nie może się tułać z oddziałami, narażony na zmienne ich losy i musi urzędować w stolicy. — Wzmiankuję jeszcze tylko, że pod Tomaszowem właściciel ziemski, Władysław Choiszewski, członek organizacyi, wystarał się nam o paszporta i stosownie do rozkazów uwiadomił Jeziorańskiego o tem, co się stało w Końskich, wskutek czego dowódca ten ocalił działo i wszystką broń porzuconą przez Łakińskiego. Ponieważ w Warszawie dokąd przybyliśmy 5 czy 6 Lutego* wieczorem 13.) — daty ści-

13.) Ja powróciłem z podróży do Paryża dopiero d. 18. lu-

* Przypisek Krzemińskiego: [niemożliwe].

stej oznaczyć nie mogę – znajdował się jeden tylko członek Rządu Narodowego Awejde, więc aż do powrotu Janowskiego z obozu Langiewicza, wspólnie z komisyą zastępczą załatwialiśmy bieżące czynności. – Ustęp ten czasu od przybycia do Warszawy, do wyjazdu do Galicyi – przeszło dwa miesiące – przypominam sobie niewyraźnie i jakby przez mgłę tylko. Okropne położenie kraju, przeczucia przyszłych klęsk, wreszcie świadomość własnej odpowiedzialności – wszystko to doprowadzało mnie do rozpaczy. Przytem życie jakie wówczas prowadziłem, było tak zabójczo zużywające, że na zawsze złamało moją energię. Jeszcze przed powstaniem, Moskale pochwycili list do Mierosławskiego, podpisany przezemnie i Awejdę, jako członków Rządu Narodowego. Znając więc nazwiska rozdali nasze fotografie policyi, wskutek czego mieszkanie w pałacu Zamojskich na cze-

---

tego w południe we środę, bezpośrednio z Kraśniczowoli pod Grodziskiem mazowieckim, własności Niedzieskich; obu, i Awejdę i Maykowskiego, zastałem już w Warszawie. S. K.

natorskiej ulicy, w którem we dnie spędzaliśmy najwięcej czasu, dwukrotnie napadnięto wśród nocy, i wszystkie nasze rzeczy zrabowano.[14]) Obaj mieliśmy farbowane włosy, brody i wąsy, co jednak mnie przynajmniej wcale nie zmieniło. Nie mieliśmy ubrania ani bielizny, prócz tego, w czemeśmy chodzili, bo Moskale zabrali nam wszystko. Zresztą każdy z nas oprócz posiedzeń Rządu Narodowego, musiał bezustannie załatwiać mnóstwo drobnych czynności: przyjmować sprawozdania przybytych powstańców, wysyłać innych i dawać im instrukcye, co wszystko razem a głównie cierpienia moralne, zużywało mnie tak bardzo, że codziennie, rzucając się spać, byłem prawie głuchy i ślepy, odurzony, jak kawał nieczułego drzewa. Och! jakże różną okazała się dla mnie rzeczywistość od owych rozkosznych rojeń o narodowem po-

---

14) Mogło to stać się dopiero po mojem uwięzieniu, w nocy z W. Czwartku na W. Piątek, z 2-go na 3-ci kwietnia, gdyż do tego czasu mieszkałem stale w lokalu wspólnym, wcale nie niepokojony. S. K.

wstaniu. Dawniej przeczuwałem w niem najwyższy szczyt szczęścia ludzkiego na ziemi, a przecież te dnie były najstraszliwiej bolesnemi z całego mego życia. Nic więc dziwnego, że wypadki owych gorączkowych czasów szczególniej dziś po latach przeszło dwudziestu, majaczeją w mej pamięci niby senne widziadła.

Krótko więc tylko wspominam tu o nich. W kilka dni po powrocie Janowskiego do Warszawy, nastąpiła znana dyktatura Langiewicza. Zaskoczeni tak niespodzianym faktem, byliśmy zmuszeni wydać manifest do kraju i jednocześnie wyprawiliśmy Bobrowskiego z Gillerem dla porozumienia się z dyktatorem.

Zanim jednak posłańcy nasi przybyli na miejsce, Langiewicz przeszedł do Galicyi (20 marca), a oddział jego rozprószył się na kilka pomniejszych. Po powrocie Bobrowskiego i Gillera, ze względu, że w istocie było tylko 2 członków Rządu Narodowego, przystąpiono do wyboru nowych, którymi zostali: Oskar Awejde, Jan Maykowski, Józef Janowski, Agaton Giller i jeszcze jeden (por. Limanowski: „Hist. powst. z 1863-4")

Sybirak, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć.

Wkrótce jednak uznano, że dwaj pierwsi, jako znani Moskalom, nie mogli się dłużej utrzymać w Warszawie, a nawet narażali Rząd Narodowy. Zamianowano ich więc Komisarzami nadzwyczajnymi. Awejdę na Litwę [15], Maykowskiego na Galicyę. W miejsce ich wstąpili do Rządu Narodowego Ruprecht i Edward Siwiński. Nadaremnie wtedy prosiłem – jak zaraz w początkach powstania i później podczas Komisarstwa – aby mi pozwolono wejść do któregoś z oddziałów zbrojnych. Członkowie Rządu Narodowego stanowczo odmówili, nie pozwalając mi urzeczywistnić marzenia od lat dziecinnych, aby choć raz w życiu bić się z Moskalami. Musiałem więc i dalej spełniać ciężkie obowiązki cywilnego urzędnika, do których nie czułem się zdolnym i które wtedy były nadzwyczaj przykremi.

15.) Nie wzruszając podania Autora, dodać w tem miejscu potrzeba, że nominacya Awejdy była w bardzo krótkim czasie cofnięta; pozostał on nadal w Komitecie

8. Dzień wyjazdu z Warszawy i data nominacyi na Komisarza pełnomocnego.

Otrzymałem nominacyę 10. kwietnia 1863 roku nie na Komisarza pełnomocnego, lecz nadzwyczajnego na Galicyę wschodnią i zachodnią zarazem. Daty ścisłej wyjazdu z Warszawy nie pomnę, wiem tylko napewno, że było to w pierwszy czy drugi dzień Wielkiejnocy moskiewskiej. (12-go lub 13-go kwietnia.)

9. Przebieg czynności na Komisarstwie. Kto był wtedy Komisarzem wschodniej Galicyi, Jarmund Stanisław, czy Jacek Siemieński, podczas mego przybycia do Lwowa.

Wyjazd mój z Warszawy dał się wykonać z wielką trudnością i tylko cudowi zawdzięczam, że nie zostałem

---

Centralnym, był członkiem jego jako Rządu Tymczasowego, jako Rządu Narodowego; wszedł do najtrwalszego i najpoważniejszego jego składu z pierwszej po-

pochwycony w Skierniewicach (ustnie opowiem to zdarzenie, szczególniej zaś o niedoszłym do skutku planie Jarosława Dąbrowskiego). Przybyłem do Krakowa zdaje mi się 16-tego czy 17-go kwietnia przeprowadzony przez granicę przez rządcę Jacka Siemieńskiego. Wówczas Komisarzami pełnomocnymi byli: W Krakowie na Galicyę zachodnią Seweryn Elżanowski, emigrant z Paryża, we Lwowie na Galicyę wschodnią Jacek Siemieński. Obaj oni nie mogli spełniać swych obowiązków, gdyż Komitety krakowski i lwowski wcale nie uznawały ich władzy, szczególniej ostatni, który Siemieńskiego nie chciał nawet przypuszczać na swe posiedzenia; obaj jednak po mojem przybyciu pozostali na swych miejscach. Siemieński tylko wkrótce po mym przyjeździe do Lwowa usunął się zupełnie. Jako Komisarz nadzwyczajny na całą Galicyę, otrzymałem następujące do spełnienia rozkazy,

---

łowy czerwca, przebywał w nim od powrotu z wyjazdu styczniowego do środka sierpnia i dopiero z nowej już nominacyi, wyjechał do Wilna – na nieszczęście. S. K.

a najpierw do Krakowa:

1. Uregulować ścisły stosunek pomiędzy Rządem Narodowym a Komitetem dla zachodniej Galicyi, — podporządkowując ostatni władzy pierwszego.

2. Bywać na wszystkich posiedzeniach Komitetu, starając się z jego pomocą wydobyć z Galicyi jak najwięcej pieniędzy i broni, oraz wyprawić jak najwięcej ochotniczych oddziałów.

3. Porozumieć się z Mierosławskim i skłonić go do poddania się rozkazom Rządu Narodowego.

4. Wybrać znaną ogólnie osobistość, któraby przebywając w Paryżu, podpisywała się na banknotach narodowych polskich.

5. Wysłać kogoś z arystokracyi jako posła do papieża.

Co do 1-ego. Do ówczesnego Komitetu krakowskiego wchodzili: Józef baron Baum, Cezar Haller, hrabia Skorupka, Atanazy Bense, i kupiec żelazny Hahn. Należał jeszcze Chrzanowski, redaktor „Czasu”, ale ten był obecny tylko na jednem posiedzeniu. Ludzie ci czynili, co mogli, szczególniej Baum i Haller, którzy

pracowali z wielką gorliwością. Nie byli przytem z zasady przeciwnymi poddaniu się władzy Rządu Narodowego: zachodziły jedynie osobiste niesnaski z Elżanowskim, postępującym zbyt arbitralnie. Po zobaczeniu się ze mną, zaraz po pierwszem posiedzeniu przyrzekli słuchać rozkazów Rządu Nar., co też sumiennie spełniali przez czas cały mego pobytu w Krakowie.

Co do 2-ego: Gorliwie zajmowałem się organizowaniem oddziałów, wraz z Komitetem, na którego posiedzenia punktualnie uczęszczałem, wskutek czego uzbroiliśmy w kilka tygodni i wyprawiliśmy do Królestwa cztery czy pięć oddziałów.

Co do 3-ego: Pomimo usilnych z mej strony nalegań, Mierosławski nie chciał uznać władzy Rządu Nar.: pozostawiłem go więc o własnych siłach, ani nie dając pomocy, ani nie stawiając przeszkód.

Wkrótce potem wyprawił się (nawet sam osobiście nie był) do Królestwa z oddziałem, mając tam urządzać obóz okopany, ale rozbity ~~na~~ zaraz na granicy, zniknął zupełnie z horyzontu powstania.

Co do 4-ego: Znosiłem się o to ustnie i pisemnie

z kilku osobami, a głównie z Bentkowskim (internowanym wówczas w Krakowie) i z Libeltem, ale nikt nie chciał się podjąć tego zadania, którego też Rząd Nar. zaniechał.

Co do 5-ego: Miał się wybrać do Rzymu hr. Adam Potocki, z którym zapoznał mnie Beuse w hotelu Saskim. Później jednak, gdy nadzieja interwencyi Napoleona upadła i szanse powstania zmalały, hr. Potocki wycofał się. A że jednocześnie wysłany zostałem do Lwowa nie wiem więc jak się ta rzecz skończyła.

Obok powyższych czynności Rząd Narodowy polecił mi później zbadać bliżej wzmiankowanego wysłańca Czarnogórców, zawrzeć z nim ugodę w imieniu Rządu Nar. i dać mu parę tysięcy rubli na wyprawę zbrojną w pomoc powstaniu. Od pierwszej chwili człowiek ten wzbudził we mnie podejrzenie i odrazę, jednak ulegając rozkazowi i nie chcąc zrażać pobratymców (w razie, gdyby myliło mnie instynktowne przeczucie) zawarłem z nim ugodę, dałem parę tysięcy rubli zadatku i napisałem odezwę do Czarno-

górców, którą w imieniu Rządu Nar. podpisałem. Później okazało się, że przysłany nie z Warszawy przez Rząd Nar., Czarnogórzec był nikczemnym szpiegiem moskiewskim. (Bliższe szczegóły opowiem ustnie).

Zdaje mi się, że w końcu maja (daty ścisłej nie jestem w stanie oznaczyć) otrzymałem od Rządu Nar. polecenie udania się do Lwowa. Istniały tam dwa Komitety: Czerwony (najwybitniejszym jego członkiem był Jan Dobrzański, redaktor „Gazety Narodowej") i Biały, który ogólnie (zw) nazywano Sapieżyńskim. Pierwszy złożony był niewątpliwie z ludzi patryotycznych i gorących, ale nie posiadał żadnej organizacyi, żadnej władzy w kraju, żadnej siły, a nawet nie odbywał posiedzeń. Drugi przeciwnie, lubo wszechwładny w Galicyi wschodniej, nie chciał uznać Rządu Nar. i Komisarza pełnomocnego nie dopuszczał do swych obrad. Znając to położenie, Rząd Narodowy dał mi instrukcyę stanowczą, abym rozwiązał Komitet Czerwony i koniecznie skłonił Komitet Biały do uznania zwierzchniczej władzy Rządu Narodowego. W ostatnim tylko razie, gdyby w żaden

sposób nie udało się złamać oporu, miałem wydać odezwę do prowincyi i przeprowadzić nową organizacyę w celu niesienia pomocy powstaniu. Nie przyszło jednak do tego. Komitet Biały, lubo niechętny ruchowi i Rządowi Narodowemu, ze względu jednak na możebną jeszcze interwencyę Napoleona, popierał powstanie i z konieczności poddał się zwierzchniej władzy Rządu Narodowego.

Położenie Komisarza nadzwyczajnego było niezmiernie trudnem i przykrem. Czerwoni nienawidzili go przezywając Sapieżyńcem, Biali tolerowali go jedynie z przymusu, dając mu nieraz dowody swej niechęci. Pomimo tego na pozór stosunki były zupełnie dobre. Bywałem na wszystkich posiedzeniach Komitetu Białego wspólnie z nimi przygotowując wyprawę generała Wysockiego i podkomendnych mu dowódzców: Horodyńskiego i Miniewskiego. Członkami Komitetu byli: Adam Sapieha (który był jego duszą), Floryan Ziemiałkowski, Alfred Młocki i Karol Hubicki.

Oprócz czynności spełnianych wspólnie z Komite-

tem otrzymałem jeszcze od Rządu Narodowego następujące specyalne zlecenia:

1. Udzielenie nagany generałowi Jeziorańskiemu i zmuszenie go do posłuszeństwa Rządowi Narodowemu.

2. Zniszczenie wydrukowanej już „Złotej Hramoty" napisanej dla Rusi przez Maryana Sokołowskiego, (Komisarza pełnomocnika jego Henryka Schmidta (wyjaśnię ustnie).

3. Mianowanie Chamca Komisarzem pełnomocnym na Ruś (na miejsce Sokołowskiego) i danie mu instrukcyi (wyjaśnię ustnie).

W końcu czerwca, czy w początkach lipca udałem się do obozu generała Wysockiego, Sapicha do oddziału Horodyńskiego, a Karol Hubicki do Miniewskiego. Znanym jest smutny koniec tej wyprawy. (Bliższe jej szczegóły opowiem ustnie), tu tylko nadmienię, że po nieudanym ataku na Radziwiłów, dowódcą następnej wyprawy miał zostać Edmund Różycki, ale ja w kilka dni później zostałem aresztowany.

10. Jaką dałem instrukcyę Chamcowi? Na czyje przedstawienie został tenże mianowanym Komisarzem pełnomocnym na Rusi? Kiedy widziałem się z Chamcem we Lwowie?

W miesiącu czerwcu (bliżej daty nie znam) otrzymałem od Rządu Nar. rozkaz dania nominacyi Chamcowi i instrukcyi, napisanej przez Rząd Nar., co wypełniłem przy widzeniu się z nim około połowy Czerwca. Zdaje mi się, że Chamiec sam przywiózł mi ekspedycyę z Warszawy, ale tego szczegółu dobrze nie pamiętam.

11. Data dymisyi i powód takowej: data aresztowania i wyjścia z więzienia.

Dymisyi nigdy nie otrzymałem i nic o tem nie wiem, obowiązki moje pełnić przestałem dopiero od chwili aresztowania. Wprawdzie na parę dni przedtem przybył Grabowski, przysłany przez Rząd Nar. z Warszawy dla załatwienia skargi, wniesionej na mnie przez generała Wysockiego, ale ten pojednał nas i o niczem więcej nie mówił. Powód żalu do mnie gen. Wy-

sockiego, którego czciłem i kochałem za jego przeszłość, był następujący: Gdy oddział jego po odpartem uderzeniu na Radziwiłłów, cofnął się do Galicyi, gdzie rzucił broń, z taką trudnością pozyskaną, przybył do mnie od Wysockiego Matuja i oddał kasę oddziału, zawierającą parę tysięcy półimperyałów w złocie. Kasę tę wręczyłem Komitetowi, który miał jej użyć na przygotowanie nowej wyprawy (gen. Różyckiego.) Tymczasem w parę dni później przybył do mnie nowy posłaniec od generała, żądając znów oddania kasy. Powiedział mi on, że Wysocki chce dać pieniądze powstańcom jużto na powrót, jużto na utrzymanie. Znając dobroć szlachetnego starca, posuniętą aż do słabości i wiedząc, że cała gotówka zmarnowanaby została, odmówiłem. — Wysocki uczuł się bardzo dotkniętym i napisał zażalenie do Rządu Nar., załatwione, jak wyżej wspomniałem przez Grabowskiego.

W ogólności we Lwowie miałem wielu nieprzychylnych, którzy czynili mnie, jak mnie później doszło — różne najniesłuszniejsze zarzuty. Pomiędzy innymi utrzymywano naprzykład, że ja to zmusiłem Wysockiego

do uderzenia na Radziwiłów. Przedewszystkiem nigdy nie mieszałem się do wojennych planów, gdyż na tem nie rozumiałem się. O ile wiem Wysocki niechętnie wyprawiał się na Ruś, ani chwili nie wierząc w możność powodzenia. Sam mi raz mówił:

„Gdybyśmy poszli w głąb kraju, Moskale wymordowaliby i połapali wszystkich, co do jednego. Żal mi tej dzielnej młodzieży i nie chcę jej mieć na sumnieniu, dlategoteż uderzę na Radziwiłów, położony na samej granicy. Jeżeli zwyciężę, inne wojska moskiewskie będą iść na mnie z Łucka, Dubna i innych punktów, a ja wtedy rozbiję je pojedyńczo, i wzmacniając się coraz bardziej, posuwać się będę dalej. Jeżeli zostanę odparty, stracę niewielu ludzi, a reszta powróci do Galicyi. (Co do tej wyprawy, szczegóły objaśnię ustnie.)

Tu powiadam jeszcze, że nie pomnę ścisłej daty aresztowania mego; w każdym razie nastąpiło ono wkrótce po wyprawie na Radziwiłów.

12. Czy pojechałem w Poznańskie z Eugeniuszem Keslerem i jakie tam zajmowałem stanowisko?

Nie mogłem być w Poznańskiem w Lutym 1864 roku, gdyż wtedy znajdowałem się jeszcze w więzieniu i pozostałem tam najpierw we Lwowie, a potem w Ołomuńcu, aż do zimy 1865 r.

13. Przygody na emigracyi i w Galicyi.

Wprost z Ołomuńca udałem się do Szwajcaryi, najpierw do Zürichu, a później do wsi Möhlina w kantonie Argau. Przez cały ten czas, przeszło dwa lata leczyłem się z powodu mocno nadwątlonego zdrowia. Następnie przybyłem w Poznańskie, – sprowadzony tam przez matkę i siostrę Maryę Ilnicką, – gdzie przez dwa lata pozostawałem, mieszkając prawie ciągle na wsi. W maju 1869 roku przeniosłem się do Galicyi, gdzie w styczniu 1870 roku ożeniłem się. Przez 3 lata byłem buchalterem Banku Galicyjskiego dla Handlu i Przemysłu, najpierw w „Domu Komisowym" w Stanisławowie,

później w „Agencyi Oświęcimskiej." Po zniesieniu tych instytucyi utrzymuję się jedynie z przekładów z niemieckiego i francuskiego dla pism warszawskich, oraz z zastępstwa agencyi Towarzystwa Ubezpieczeń w Krakowie. Obywatelstwo austryackie posiadam już od 8-miu lat.

14. Czy posiadam dokumenta, dotyczące mej działalności w Galicyi, a przynajmniej dotyczące mej osoby t. j. nominacyę i dymisyę?

Obecnie nie mam żadnych dokumentów, gdyż jak już wspomniałem, wszystkie me papiery zostały zatracone po mem uwięzieniu.

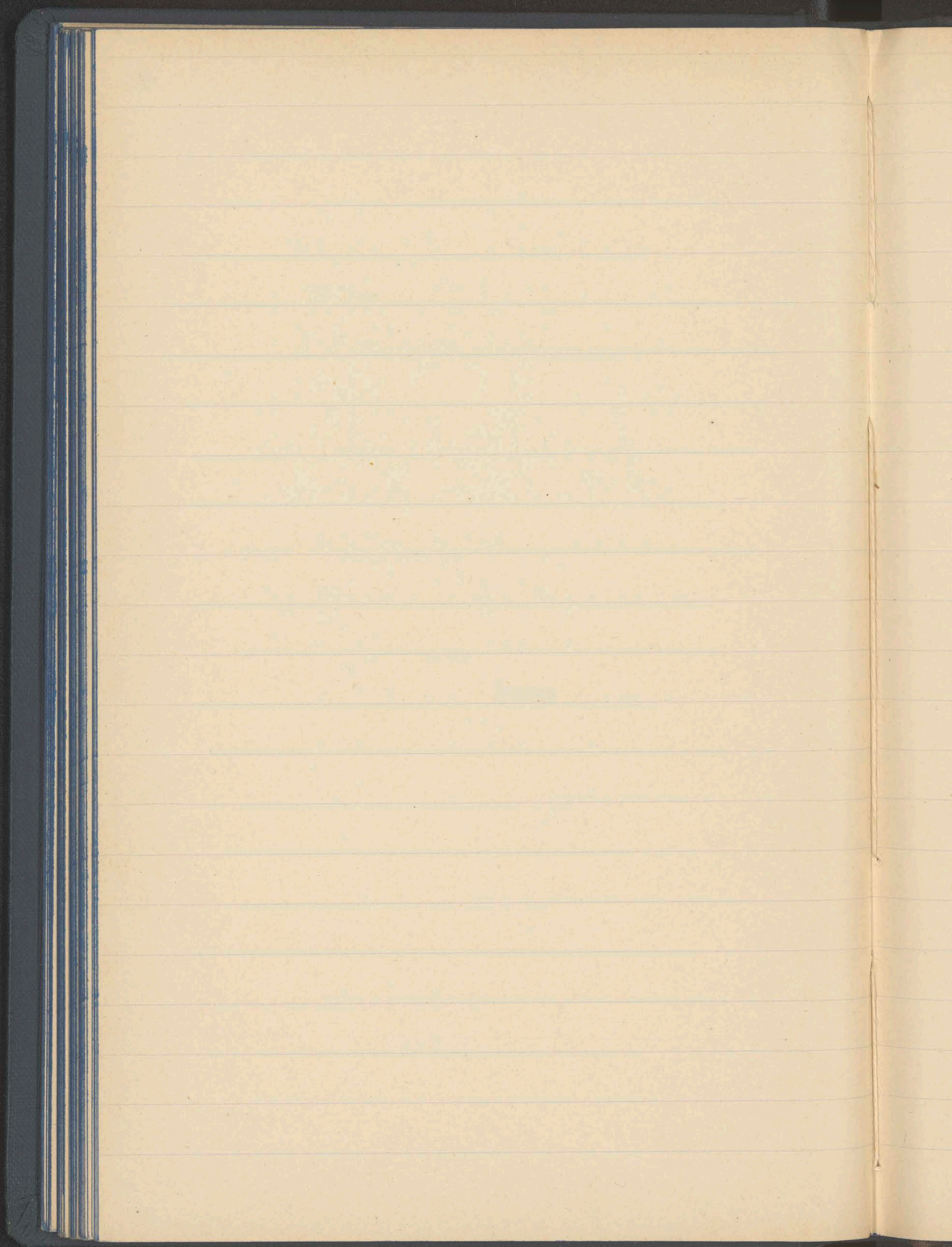
15. Czym się widział z Traugúttem? Kiedy? Gdzie? Wreszcie, cośmy ułożyli lub omówili ze sobą?

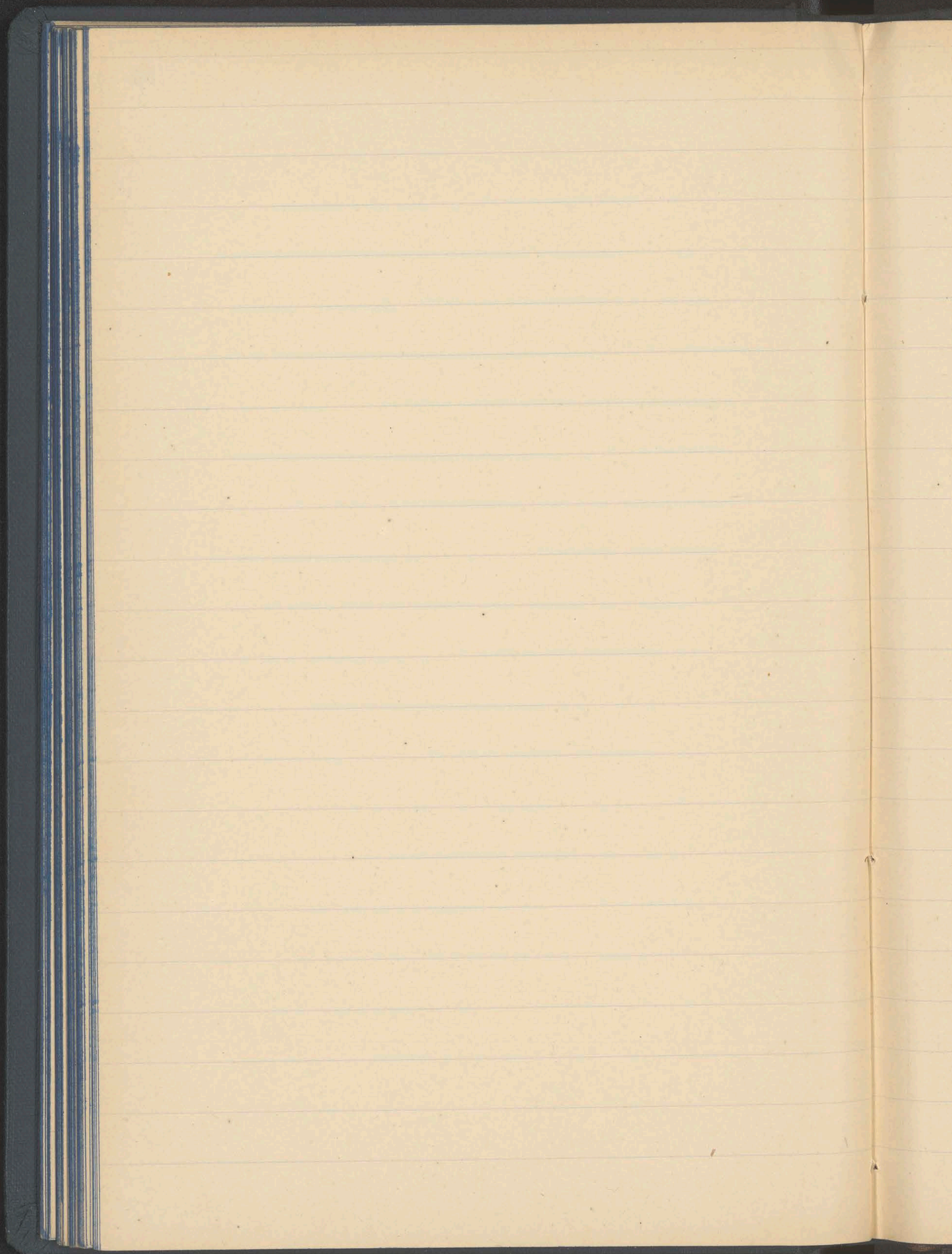
Nigdy nie widziałem Traugútta i dopiero w wię-

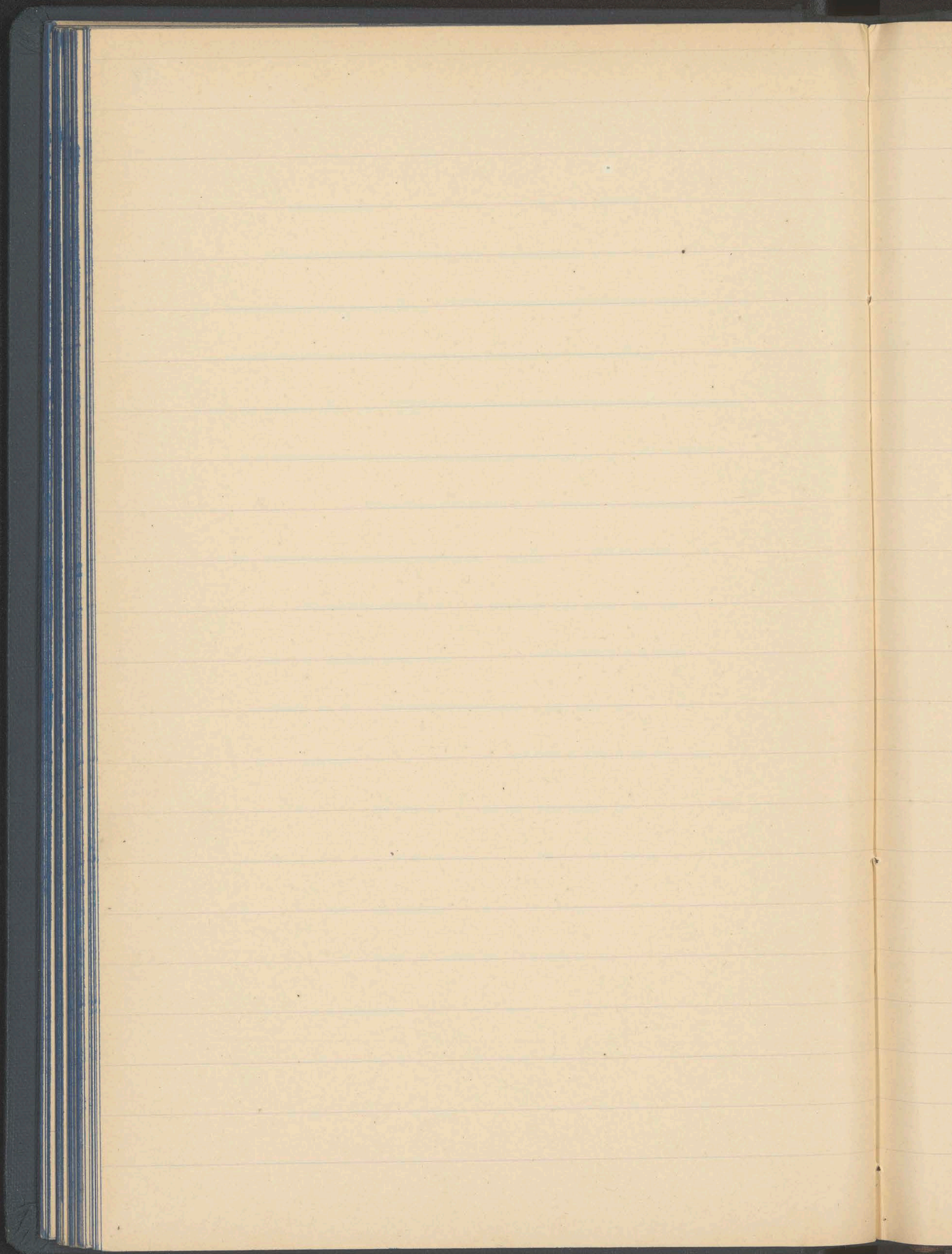
ziemi dowiedziałem się o jego działalności i straceniu.

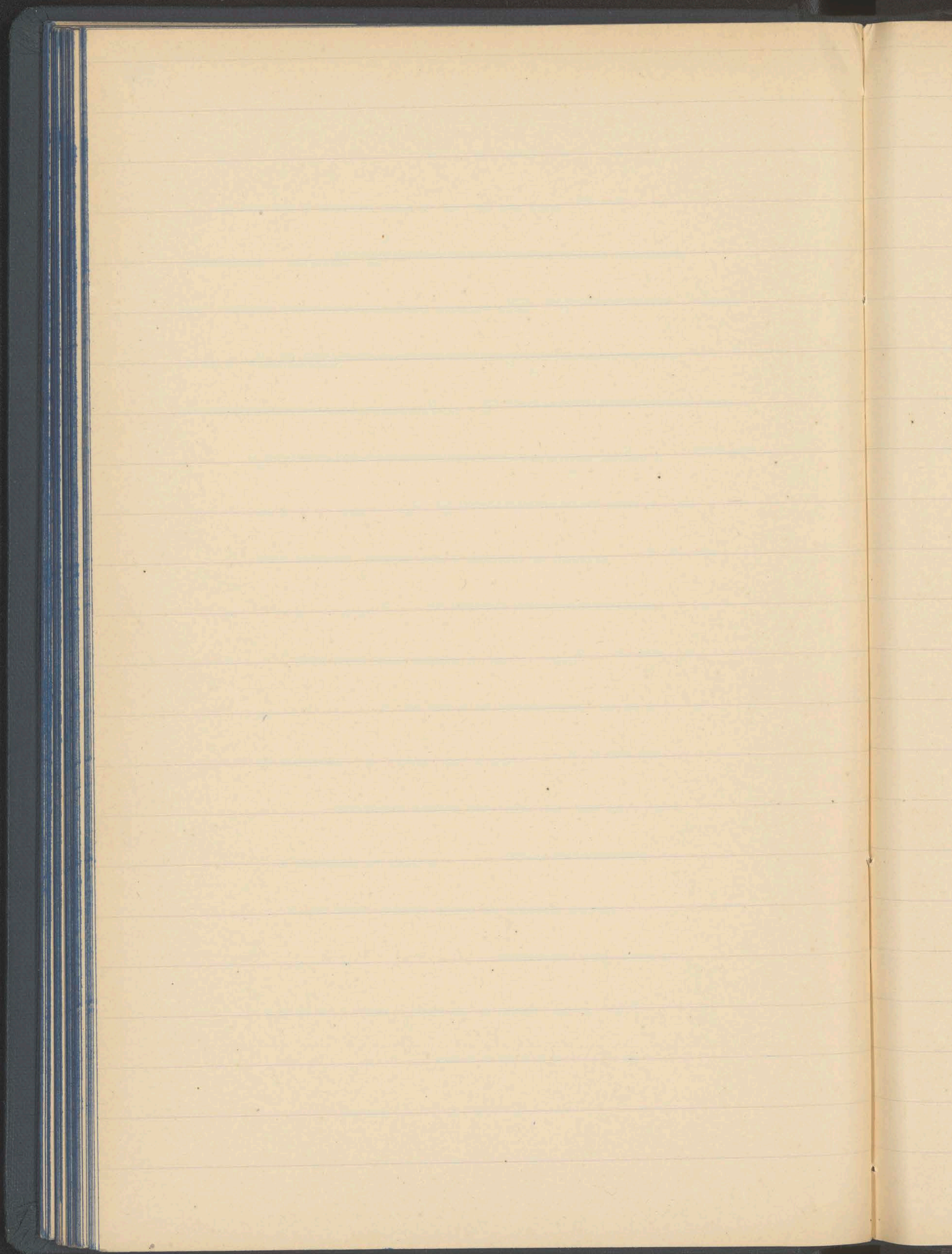
16. Jakie odezwy redagowałem w czasie pobytu w Komitecie„ Czym wydał jakie odezwy, jako Komisarz nadzwyczajny (nie pełnomocny.) Jakie i kiedy.

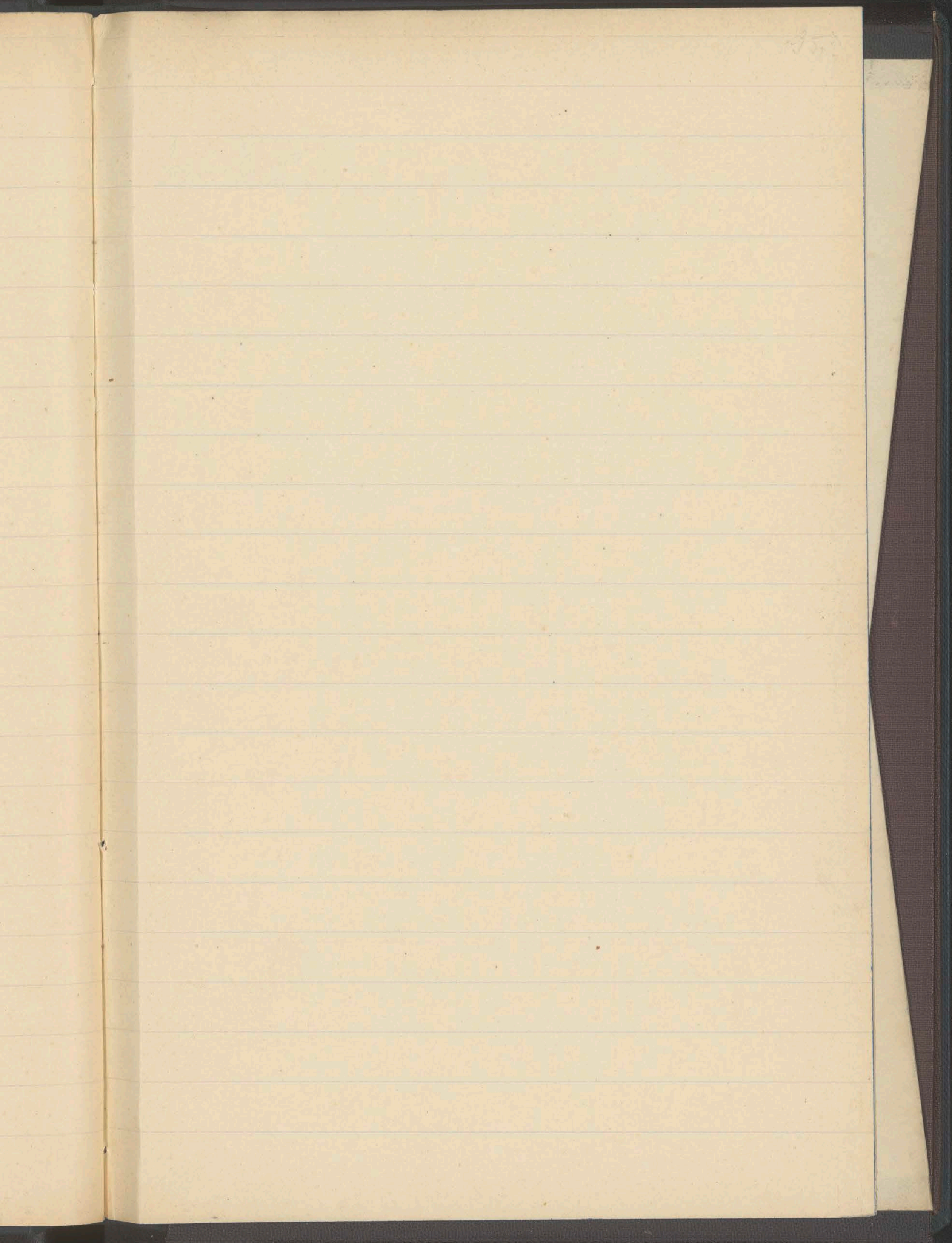
Podczas pobytu w Komitecie Centralnym, z ważniejszych pisałem jedynie manifest z 22. stycznia. Drobniejszych nie pamiętam, zdaje mi się, że redagowałem również instrukcyę, w jaki sposób przeprowadzać w kraju uwłaszczenie włościan. Jako Komisarz nadzwyczajny wydałem jedną odezwę do Czarnogórców, o której wspominałem.











J. MAYKOWSKI

PAMIĘTNIK

p. 33
p. 4
p. 2

p. 33
p. 41
p. 20-3 Jürgens

K

Nin
Komitetu [illegible]
wany co do [illegible]
w Jarze Czaj[illegible]

PAMIĘTNIK

JANA MAYKOWSKIEGO

CZŁONKA „KOMITETU CENTRALNEGO“

A NASTĘPNIE

KOMISARZA NADZWYCZAJNEGO RZĄDU NARODOWEGO

W ZABORZE AUSTRYACKIM

Z PRZEDMOWĄ

STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

Niniejszy konspekt ogólny Pamiętnika Jana Maykowskiego, członka Komitetu Centralnego (Rządu Narodowego) z r. 1863-go i poprzednich, przejrzany i sprostowany co do treści przezemnie w kilkunastu miejscach, jakoteż opatrzony przedmową, składam w darze Czcigodnej Bibliotece Jagiellońskiej. D. 16 lipca 1912 r. Kraków.

Stanisław Krzemiński

LWÓW 1909. — NAKŁADEM SŁOWA POLSKIEGO.

Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“ WE LWOWIE
pod zarządem Józefa Ziembińskiego.

SŁOWO WSTĘPNE.

Autor pamiętnika urodził się w r. 1828 we wsi Jasiennej nad Pilicą, w pobliżu Białobrzegów i Suchej, w północnym kraju woj. Sandomierskiego. Ojciec jego, Edward Maykowski był dowódzcą batalionu saperów w randze majora. Niewtajemniczony w sprzysiężenia, już wówczas pułkownik, w pierwszej chwili 29-go listopada wahał się co robić; ale czego mu nie wyszeptali ludzie, to powiedziała sama moc cudotwórcza. Coraz to nowy żołnierz stawał pod nowo podniesioną chorągwią na nowe hasło; lud wrzał żądzą wolności, wymierzał swą sprawiedliwość i chwytał za oręż; szaserzy Kurnatowskiego wszczynali walkę, która tylko bratobójczą być mogła; opanowanie arsenału czyniło ruch już nieodwołalnym: Maykowski dostrzegł drogę, którą pójdzie część narodu, w Królestwo Kongresowe wtłoczona, i zaraz na nią sam wszedł. Już w nocy opędzał się szaserom na Saskim Placu i Krakowskim Przedmieściu, a nad ranem bez niczyjego rozkazu stanął na posterunku obronnym przy zbiegu Nowego Świata i Placu Trzech Krzyży. W początku kwietnia porwała go nagle, jednego z pierwszych, cholera, wniesiona przez wojsko rosyjskie.

W niewielkiej wiosce została młoda, niezwykle piękna wdowa, Julia z Garczyńskich, z czworgiem

w Warszawie

(x) Jasienna nad Pilicą, w pobliżu Białobrzegów i Suchej, w północnym kraju wojew. Sandomierskiego.

Jasienna

drobnych dzieci. Wychowanie potomstwa, ocalenie niewielkiego mająteczku, stało się jedynem zadaniem jej życia: odrzuciła propozycye małżeństwa, aby, spełniając obowiązek względem dzieci, nie przeniewierzyć się ich ojcu. Drobiazg wzrastał w atmosferze mocno uczuciowej a podniosłej. Szczera pobożność zespala się w tym domu z bezwzględnym a bezwiednym patryotyzmem; dla nich był on jakby utajonym cieplikiem. Pan dziadek macierzysty p. Garczyński, konfederat barski, już 90-letni, ale jeszcze raźny, uosabiał dzieciom przeszłość, która pod zawołaniem Maryi, właściwie za ojczyznę walczyła. Stary Jan, towarzysz bojowy z Hiszpanii, ordynans ojca, a teraz przyjaciel i piastun dzieci, karmił je opowieściami o przygodach, w zaciętej walce narodowej przebytych, uczył chłopców musztry, opowiadał im o Napoleonie, księciu Józefie i Moskwie i urządzał zabawy w wojnę. Walter Scott z Ossyanem we dwóch także przykładali się do wykształcenia i rozpalali wyobraźnię. Przy dobrem pożyciu z ludem podania, z ust jego zbierane, budziły jakieś tajemnicze tęsknoty, malowały nowe krainy baśni, rzucały nowe uroki na życie, co miało wszystkich ubłogosławić. Każdemu z dzieci dostało się coś z marzycielstwa i coś z zapału, każde czuło moc, która rwie za sobą i nie pyta chcesz, czy nie chcesz. Epoka ciągłych męczeństw, szubienic i kajdan wzmacniała jeszcze i pogłębiała ów nastrój patryotyczny.

Gospodarstwo w Jasiennej w kobiecych rękach szło coraz gorzej. Około r. 1840, po śmierci konfederata (żył 102 lata) musiała pułkownikowa folwarczek wydzierżawić i przenieść się do do Warszawy, dokąd

zabrała i obu chłopców starszych, oddanych zrazu do Radomia. Obaj ukończyli szkoły w Warszawie, i gdy nie było wyboru, dostali się do biur rządowych. Matka przez stosunki swego męża, dzieci przez swe zdolności, zalety umysłu i zamiłowanie książki, znalazły wstęp do lepszych, cichych, przed policyą utajonych towarzystw stolicy. Wpływ takich Dobrzańskich, później Szumlańskich, Janiszewskich, Janickich, wreszcie Wójcickiego rozwijał i kształcił nabytki tradycyi rodzinnych, posiewy domu i szkoły. I u samej pułkownikowej zapłonęło żywsze ognisko zbiorowej myśli obywatelskiej, gdy córka jedynaczka, późniejsza Marya Ilnicka, skończywszy pensyę u Plewińskiej, zaczęła już próbować pióra. Jeżeli starzy w tych towarzystwach dawali wspomnienia i nauki, młodzi owiewali je duchem — a był to duch buntu, ciągłego buntu niepoprawnych Polaków. Obaj Maykowscy, zetknąwszy się z młodzieżą myślącą o ojczyźnie, czynami dla ojczyzny brali udział w robotach podziemnych. Starszy, Edward, w r. 1850 wszedł do ówczesnego sprzysiężenia i w samych jego początkach wraz z wielu innymi zagrożony, ale od wielu innych wskutek wczesnego ostrzeżenia szczęśliwszy, uciekł za granicę; w Paryżu skończył Szkołę Centralną i przy wybitnych zdolnościach, choć cudzoziemiec, został inżynierem na drogach zachodnich. Młodszy, który w spisku dopomagał tylko bratu, ocalał i miał dalej w Komisyi Skarbu w wydziale dóbr i lasów dosługiwał się karyery. Sekcya dóbr, w której służył, dawała mu sposobność do dłuższych corocznych przejazdów po kraju, do zaznajamiania się z ludem, poznawania jego nastroju, do paktowania z obywatel-

stwem ziemskiem, w którem wówczas nie było ani ugodowców, ani realistów, choć byli już Wielopolscy. Na wyrobienie ostateczne umysłu wywarło wpływ stanowczy małżeństwo siostry, która w początkach r. 1853 wyszła za Tomasza Ilnickiego, prawnika z powołania, urzędnika Banku Polskiego, człowieka o krystalicznie czystym charakterze, z głęboką miłością ojczyzny, surowego dla siebie i innych, a przedewszystkiem gruntownie wykształconego jeszcze w uniwersytecie warszawskim.

Młody jeszcze, dopiero 18-letni, poznałem Jana Maykowskiego w r. 1858 u państwa Ilnickich. W salonie literackim, który się był u nich wytworzył, skoro tylko pani domu weszła w literaturę warszawską, uderzyła mnie wymowa jej brata, z początku spokojna, w miarę oporu lub rozwoju myśli rosnąca w namiętność, obrazami działająca, składna, potoczysta — a nie tylko w sprawach publicznych, w polityce, ale i w rzeczach literackich, czy chodziło o powieść George Sand albo Kraszewskiego, czy o Szajnochę, Syrokomlę lub Pola, którymi wówczas w Warszawie żywo się zajmowano. Bliższe poznanie pokazało mi naturę zapalną, o idealistycznym nastroju, ale i głowę logiczną. Przystaliśmy jakoś do siebie i mimo różnicy wieku zaprzyjaźnili się. Mieszkanie w tym samym domu ułatwiało stosunki. Zaprosiłem go do siebie na tygodniowe wieczory, od jesieni 1857 r. urządzane dla młodzieży patryotycznej: wśród młodych był młodym, jak i my. Poza kołami, do których ja sam należałem, obracał się jeszcze w innych; bywał np. u Jurgensa, nie u Narcyzy Żmichowskiej. Byliśmy razem d. 18 marca 1859

ale bywał

u Pijarów na nabożeństwie za duszę Adama Juliusza Zygmunta. W biurze bliższe stosunki łączyły autora pamiętnika z Aleksandrem Adamowiczem i Bronisławem Brzezińskim. Pierwszy z nich zajmował się pilnie dziejami Polski; drugi był gorącym, czynnym, ale nie wybuchowym patryotą: obu poznałem i ściągnąłem do siebie. Z Brzezińskim związała mnie ważna sprawa już przy samym upadku powstania w r. 1864.

W listopadzie 1859 r. wyjechałem do Paryża, aby się otrzeć o tę emigracyę, która nie przyjęła amnestyi, poznać jej literaturę i dochowane szczątki ludzi, a potem udać się na studya do Heidelberga. Kiedy nieprzewidziane okoliczności zmusiły mnie do powrotu już w marcu 1860 r., Jan Maykowski był już zwolennikiem jakiegoś uzewnętrzniania uczuć, czegoś, coby z dusz wyszło na zewnątrz, a było upomnieniem się o prawa. W pierwszej połowie czerwca na pogrzebie Sowińskiej objawiał młodzieńczy zapał. Pierwsza manifestacya już bezpośrednio patryotyczna, d. 29 listopada 1860 r. na Lesznie, miała w nim głównego wykonawcę przygotowań. Ważne a wiarogodne jest w pamiętniku odsłonienie stosunku Jurgensa do tego obchodu. Są znowu inne świadectwa, że w czasie narad u Kronenberga w końcu grudnia 1862 r. Jurgens, wbrew zdaniu patryotów ze wszystkich ziem polskich, uważał powstanie za nieodzowną konieczność, a gdy już wybuchło — według zeznania zmarłego w samym początku bieżącego stulecia Dra Franciszka Śliwickiego w Warszawie — rzekomy teoretyk pilleneryzmu, jak go nazywał Mierosławski — widział jedno tylko wyjście z wąwozu: z powstaniem się łączyć.

Gdy w środku marca 1861 r., pod wrażeniem wypadków 25 i 27 lutego, a po wywiązaniu się ze skromnej missyi do Guttrego w Paryżu Poznańskim, stanąłem w Warszawie, nie mogłem jej poznać: inaczej się tu teraz żyło, inaczej radowało, inaczej cierpiało, a nie szalało wcale. Nowe życie, nowy lud; tylko kamienie i mury też same. Czułeś, chwytałeś jakby już odradzanie się narodu. Kto nie widział Warszawy w tych dniach niezapomnianych, ten nie był świadkiem najwspanialszej może ewolucyi w dziejach. Podniosła się ku niebu i ku ojczyźnie skala umysłów i serc. W jednej chwili pięciu ofiar ustaliło się odrazu jakieś nowe, tajemnicze, międzycząsteczkowe lgnienie, wspólne, bez różnicy klas, stanów, majątków i powołań, obywatelstwo; jakieś ogromne skierowanie się wszelkich żądz i interesów, wszelkich dążeń społecznych, zgodnych czy rozbieżnych, w jedno szerokie koryto żądzy narodowego bytu. Ludzie wyszlachetnieli, lud się umoralnił. Zadziwiająco zmniejszyła się liczba przestępstw i wykroczeń. Człowiek był i gorętszym i czystszym niż dawniej. W tym skromnym zakresie życia publicznego, jakie dawała delegacya, spełniano, co nakazywał obowiązek, nietylko z ochotą i rzetelnością, ale i z religijnem jakby poszanowaniem. Służba delegata czy konstabla nie była przywilejem dla uciechy tych, którym pozwolono na krótką chwilę odetchnąć: była twardym trudem, spełnianym przez wielkich i maluczkich z jednakową gorliwością. Pamiętam, jednej nocy na części ulicy Marszałkowskiej i na ówczesnej Próżnej znajdowałem się na stróży razem z Maykowskim i Ilnickim: nas dwóch ziąb przejął, Jan pozostał i nie

gdy nie opuszczał swej kolei. Nie byliśmy z sobą d. 8. kwietnia na Krakowskiem Przedmieściu i Placu Zamkowym, gdzie lała się tak obficie krew, Aleśmy się znaleźli obaj u Fary d. 15. października na nabożeństwie Kościuszkowskiem. Razem nas po godzinie 4-ej rano pognano. Na Placu Zamkowym i przez całą drogę (Podwale, Freta) miałem go nieopodal siebie. Na niego, jasnego blondyna, ale nie uderzającego wzrostem, wskazywali obozujący na Placu Zamkowym żołnierze „E t o (czy też w o t) p o l s k i j k o r o l", wpędzili go na jeden z ogni w mroźną noc rozpalonych i kazali mu przezeń skakać. Kiedym w samym końcu grudnia opuszczał Warszawę, Jan nie należał jeszcze do żadnego tajemnego związku, zresztą, najwcześniejsza ze wszystkich organizacya Warszawy znajdowała się dopiero w zalążkach, Czarni Bracia byli mistyfikacyą, a ruch na drogę rewolucyjną naprawdę wepchnęli dopiero Dąbrowski i Chmieliński na wiosnę 1862 r. Niesłychana była ruchu tego gwałtowność.

Na jesieni 1861 r. sprowadził się autor pamiętnika do mnie, do domu Zamoyskich przy ul. Żabiej do tego samego mieszkania, które obecnie zajmuje Tadeusz Korzon. Po nowym wyjeździe moim zagranicę w samym końcu grudnia 1861 r. przybył Maykowskiemu współlokator, Oskar Awejde, przez nas na uniwersytecie przezwany „Basikiem".

W lipcu 1862 r. dochodziły do Heidelberga pogłoski o komitecie rewolucyjnym, w końcu sierpnia, po powrocie ze Szwajcaryi, dowiedziałem się o Janie, że jest nadzwyczaj czynny i głośny. W parę tygodni pó-

źniej dostaliśmy „Strażnicę“ z odezwą d. 1. Września; w październiku już nowi przyjezdni wymieniali nazwisko Maykowskiego, jako jednego z członków Komitetu Centralnego; powtórzył mi je Kurzyna, przybywszy na obchód listopadowy do Heidelberga. Ten pośpiech i rwanie się, ten pęd szalony przejmowały mnie zgryzotą: praca unarodowienia szkoły, 600 nowych szkółek dla ludu, rozwój umysłowy, społeczny i bądź co bądź polski: wszystko szło na marne, a nieszczęście pewne, a drabina nieszczęść — jak mawiał Aleksander Krajewski — nie=mająca nigdy szczebla, któryby był ostatnim....

Gdy w końcu grudnia wróciłem do kraju, nie było już sposobu zatamować potoku: ruch ogarnąwszy masy, stał się już żywiołowym — ale, niestety, ludu wiejskiego osiadłego nie tknął. Maykowski był przeciwny powstaniu i na krótko przed wybuchem, prawie jednocześnie z Gillerem, wyszedł z Komitetu. W krótkiej przerwie między 11/ a 18/ stycznia wyzwolony z więzów zależności, zadrżał z trwogi o los narodu; z rozpaczliwego położenia po zamachu Wielopolskiego na młodzież całego Królestwa szukał wyjścia w wielkiem jakiemś całopaleniu, w ofierze życia tych wszystkich, na których ciążyła odpowiedzialność za nastrojenie mas miejskich na ton walki zbrojnej. D. 16. stycznia w piątek wczesnym wieczorem we wspólnem mieszkaniu naszem rozwinął przedemną pomysł zebrania się w kościele (Reformatów) i wyruszenia z godłami wiary i męki na ulice miasta, aby się dać wymordować. ~~Zdziwiło mnie to, gdy spowiedzi z tego głęboko tragicznego stanu duszy w pamiętniku nie~~

~~znalazłem.~~ Był to jedyny moment, w którym człowiek stale płonący, energiczny, a silny w myślach ukazał mi się bez ognia, energii i sprawności umysłowej, tak dla jego indywidualności znamiennych.

Z pamiętnika nie widać jasno, co wprowadziło Maykowskiego napowrót do Komitetu. Mnie odrazu zdawało się, że zapewnienia i zaręczenia wojewódzkich i komisarzy, wezwanych do Warszawy na niedzielę 18. stycznia na radę walną we wspólnem naszem mieszkaniu odbytą, rozstrzygnęły o tak rychłym powrocie. Nacisk prowincyi na Warszawę, już w dniu 11. stycznia uchwałami Mierniewickiemi wywarty, zaważył wiele na szali losu; ale, gdyby nawet wcale powstania nie chciano i nie uchwalano, zrobiłby je sam pobór do wojska, zrobiłaby gillerowska dyslokacya, która go miała udaremnić. Wszystkiem był ciężar i rozpalenie się masy przez ruch i opór.

Na wielkiej naradzie 18. stycznia, która postanowiła powstanie, podjął się autor pamiętnika napisać manifest powstańczy. Ten, który rzeczywiście wyszedł, jego jest dziełem; nieznaczne tylko poprawki stylistyczne doradziła mu siostra, a koledzy w Komitecie lekkie tylko w pojedynczych wyrażeniach wprowadzili zmiany.

Na dwa dni przed powstaniem, we wtorek wieczorem Maykowski, Awejde i Witold Marczewski, znając stosunki moje z Kurzyną i Mierosławskim, jęli na mnie nalegać, abym zaraz nazajutrz zrana, jechał do Paryża dla nakłonienia generała do objęcia dyktatury, którą kto inny, umyślnie wysłany, urzędownie mu zaproponuje. Zdziwiło mnie nazwisko wychodzące z ust,

które do owej chwili nieprzychylnie tylko o Mierosławskim się odzywały — i słusznie, bo Mierosławski szedł otwarcie przeciw Komitetowi. Rozmowa, długa i szczegółowa — bom się opierał i do wybuchu, choćby tylko pośrednio, przykładać się nie chciał — pokazała mi, że działano w przeświadczeniu o konieczności tego, a nie innego człowieka. Argumenta, wymownie, gorąco, z pewnem zaklęciem wyłożone przez autora pamiętnika, przechyliły pogląd mój na stronę opozycyi. Nazajutrz o 10-tej zrana siedziałem już w wagonie wraz z Władysławem Janowskim, bratem Józefa, poległym wkrótce w boju.

Kiedym wrócił (dopiero d. 16 lutego) do Warszawy, zastałem mieszkanie puste. Awejde z Maykowskim w zachodniej części Królestwa szukali dyktatora, którego już nie było, aby mu zdać władzę. Dokumentem historycznym jest to, co autor mówi o wędrówce do Kutna, potem do Opoczna, o błąkaniu się pomiędzy pobitym Mierosławskim a zwycięskim Langiewiczem, pomiędzy dyktatorem z woli rządu tymczasowego a dyktatorem z łaski reakcyi i samozwaństwa. Widać z wytrwałości w tem błądzeniu, jak silnie ludźmi ówczesnymi rządziła zasada, w przewidywaniu chwili wyrocznej, od samego początku ruchu narodowego wyznawana, że ktokolwiek zajmie stanowisko wróżące utrwalenie się władzy jawnej i odpowiedzialnej, temu każdy bez względu na przekonania swoje kornie się podda. Ja tę powściągliwość złudzeń i ideałów ujmałem w zdaniu: „Choćby powstanie zrobił sam dyabeł, — pójdziemy za nim".

Gdy w drugiej połowie marca obaj wędrownicy

znaleźli się napowrót w Warszawie; spadł na nich ciężar dawny z nową jeszcze rzucony siłą. Trzeba było władzę rozprzężoną zreorganizować. Ja, choć nie należący do zarządu, nie uchylałem się od roboty. W końcu marca autor pamiętnika uczynił mi propozycyę napisania statutu czy regulaminu dla władz prowincyonalnych i wskazał do niego zasady. Nie wiem, w jakiej mierze wykład tych zasad był dziełem samego Maykowskiego, ale zostało mi po nim wrażenie porządku w myślach i dążenia do jednolitości w działaniach. Sama ustawa, litografowana na rozpostartym arkuszu papieru, z datą 28 marca 1863 r. jest dziś zabytkiem nader rzadkim.

Zbliżał się szybko moment krytyczny. Dnia 2-go kwietnia z samego rana otrzymaliśmy ostrzeżenie, że policya otacza nas szczególną pieczołowitością. Pewne było aresztowanie. Współmieszkańcy moi nie skorzystali z dnia, ledwo się wydobyli już wieczorem. Wkrótce potem wszystkie wejścia były już strzeżone. Młodszy brat Awejdy, Jurek, przygarnięty przez brata, uciekając już późno w nocy, musiał wędrować po dachu jakiegoś budynku w ogrodzie Zamoyskich. Ale tamci dwaj ocaleli, a to było najważniejsze. Po godzinie 11-ej przyszła policya i zabrała mnie do cytadeli. W mieszkaniu nie znaleziono mnie. W parę dni później zabrano i posługującego nam Sebastyana Skarbka, stróża i przyjaciela naszego, człowieka, jak się mówi, prostego, nieumiejącego czytać, ale dużej sprawności w słowie i czynie, z gorącą miłością Ojczyzny i gotowością do poświęceń — rodem z Mozygłoda za Częstochową. Dwa razy jeszcze potem: za sprawę

zabójstwa Maniszewskiego i zamachu na Baryę, wpadał Skarbek w szpony wojenno-sądowe; ale z wszystkich trzech wypadków wyszedł cało. Jemu zawdzięczam szybkie wydostanie się z więzienia. Zuchwałemi więc zaprzeczeniami, jakoby u nas działo się cośkolwiek nielegalnego, poparł on moje własne — skutecznie dla siebie i dla mnie. Piękny ten typ ludowy dopominał się pióra Bolesławity. Dziś, od lat 16-stu już († 28 lutego 1892 r.) wdowa po nim, bardzo sędziwa, mieszka w Warszawie i w ciszy Starego Miasta przygotowuje się na drogę wieczności.

Po wyjściu z cytadeli nie widziałem się już więcej z autorem pamiętnika. W „Materyałach do historyi powstania 1863-4 r.“ znalazłem ślady i dowody jego działalności, w pamiętnikach i zwierzeniach postronnych — kwas i cierpkość. Poczucie prawa, miłość własna, zawiść polityczna, godziły w komisarza Pełnomocnego, który władzę swoją czuł jako swą własność i nie pozwalał jej sobie wydrzeć. Nie mam w tej sprawie sądu urobionego pod sąd historyi, ale mniemam, że najgłębsza wina zatargu nie tkwi ani w bezprawiu jednych, ani w niegodziwości drugich — zwykły słownik stronnictw: szukać jej trzeba w niemocy, w upadku, w narodowem nieszczęściu. Co Słowacki mówi w „Anhellim“ myśląc i utarczkach emigracyjnych, to wypada powiedzieć o ostatnich chwilach powstania tak na widowni walki jak i we wspomagających ją prowincyach.

Jeżeli czem Maykowski zawinił, to nieustosunkowaniem subjektywizmu swej władzy do objektywizmu powszechnej bezsilności. Na świecie zawsze już tak

było, że tylko silny miał rozum. My w r. 1863 przeszliśmy zenit swej siły, rozumu i szczęścia pod Goszczą. W r. 1830-1 reakcya kierowała powstaniem, w r. 1863, dorwawszy do niego na chwilę, odrazu je zatamowała, wielką zwłaszcza moralną wyrządzając mu krzywdę. Nie zdołała go przecież w moc swoją pochwycić, kierunku jego spaczyć i prądu jego odwrócić: rozwijało się dalej w pierwotnym swym, rzetelnie uczuciowym kierunku i miewało nawet przebłyski powodzenia. Oszczerstwem radykalizmu jest szerzona uporczywie baśń, jakoby rząd czerwcowy działał w tej wierze i tylko dla pozoru zbroił oddziały i staczał walki. Krzykactwo rozwiązuje w lot sprawy najzawilsze.

O dalszych losach autora pamiętnika, po wypuszczeniu go z Ołomuńca, dowiadywałem się od jego matki i siostry, które w latach 1866-9 w porze letniej widywały się z nim u krewnych w Poznańskiem. Tam Jan Maykowski wybrał sobie towarzyszkę życia, a przywiązany był do niej całą siłą swej natury i mocą swego charakteru. Na parę lat przed śmiercią (1897) Maryi Ilnickiej zawiązała się między nami korespondencya, po śmierci częstsza i coraz serdeczniejsza. W r. 1903 znalazłem w Rapperswylu pamiętnik; pozwolono mi do niego zajrzeć. W roku następnym odwiedziłem przyjaciela młodości w Oświęcimiu; przytłaczał go już wiek, zawodziła pamięć, zaczynał się już słaniać po ziemi; przeszłość migotała mu z daleka z poza mgły gęstej, nie dotykała już duszy, nie wprawiała jej w ruch. Opuszczałem Dom Kasy Ubezpie-

czeń i Oszczędności z Memento mori — tak dla mnie samego potrzebnem.

Jedno jeszcze słowo. Pamiętnik, spisany skromnie, powiedziałbym: pokornie, bez cienia chluby własnej, tem większą wzbudza wiarę, im wyraźniej pokazuje w autorze odwrócenie się od ideału walki zbrojnej. Zmianę politycznego wierzenia wywołało bolesne rozważenie ogromu ofiar i strat, które zwłaszcza z Litwy i Rusi waliły w rozumy i serca polskie jakby taranem. Ale nigdzie, w jednej choćby literce pamiętnika, niema jadowitych bryzgów, niema wymysłów, szyderstw i złorzeczeń — tych bohaterskich czynów śliny zaprzańczej, które spotykamy w „Tece Stańczyka“, w „Kilku Prawdach dla Narodu Polskiego“, w historyi, historyach i historyjkach p. Stanisława Koźmiana młodszego. Nikt nie ma prawa, jak Julek w „Tece Nieczui“ z Tartaru na Maykowskiego, jęknąć. Umie on uszanować majestat wielkiego uczucia, prawowitość idei, przed którą jedynie tylko dusza polska rzetelnie polską być może. Zmienił się prąd po wierzchu, głęboki nurt pozostał. Jan Maykowski w całości tego, co zdziałał, do czego się rwał, w czem błądził — stoi przed nami jako jedna z najdodatniejszych, najrzetelniej czystych i jasnych postaci Roku wielkiego zamysłami, większego jeszcze nieszczęściem.

Warszawa, dnia 19 stycznia 1907 r.

Stanisław Krzemiński.

a capite!

Niniejsze wspomnienia Jana Maykowskiego, niewłaściwie w rękopisie nazwane „Pamiętnikiem", właściwie są tylko zbiorem odpowiedzi na kwestyonaryusz rozesłany (ok. r. 1885) przez Artura Wołyńskiego, referenta Wydziału Spraw Zagranicznych w Rządzie Narodowym, z Florencyi do wszystkich główniejszych lub głośniejszych uczestników powstania. I na takim jeszcze poziomie trzymają się tylko ułamkowo: mamy [illegible] pustych, oznaczonych słowami „opuścić [illegible]", „bliżej wyjaśnię ustnie", a nieopowiedzianych i niewyjaśnionych [illegible] w takich np. punktach, jak plan uderzenia na Modlin w postaci przedstawionej Komitetowi i plan powołania jednoczesnego na całem terytoryum (str. 28), nowy lub dawniejszy plan Dąbrowskiego i niedojście tego do skutku (str. 36), zniszczenie „Złotej Hramoty" napisanej przez Maryana Sokołowskiego i zastąpienie jej Chamcem (str. 39), oraz szczegóły wyprawy Wysockiego, Horodyńskiego i Minniewskiego (str. 39).

PAMIĘTNIK JANA MAYKOWSKIEGO

Na przedłożone mi pytania odpowiadam pokrótce w sposób następujący:

1. Dzień, miesiąc i miejsce urodzenia,

Dnia 28 maja 1828 r. w Warszawie,

2. Imię ojca, imię i nazwisko matki

Ojciec mój Edward Maykowski, pułkownik wojsk polskich, dowódca Saperów, Matka Julia z Garczyńskich Maykowska.

3. Czas i miejsce odbytych nauk?

W Warszawie od 1838—1848 r.

4. Sprawowane urzęda, czas i miejsce.

Od września 1848 roku do 1863 pracowałem w Komisyi Skarbu w Wydziale Dóbr i lasów, ostatecznie na posadzie starszego adjunkta ekonomicznego z pensyą roczną 4000 złp.

5. Prace konspiracyjne przed rokiem 1863.

Po bolesnych zawodach lat 1846 i 1848 nastąpił długi, odrętwiający sen. Warszawa i cały kraj pogrążone były w bezmyślnych rozrywkach; młodzież zdemoralizowana i ogłupiona w moskiewskich szkołach, myślała jedynie o wieczorkach tańcujących i hulankach.

Rzadko kiedy spotykało się ludzi poważniejszych, bolejących nad upadkiem i poniżeniem kraju. Dopiero ważne, szybko po sobie następujące wypadki polityczne: wojna krymska, śmierć Mikołaja, wstąpienie na tron Aleksandra, wojna włoska rozbudziły z letargicznego uśpienia ówczesne społeczeństwo. Najsilniej poruszyły umysły: zjazd cara z królem pruskim i cesarzem austryackim w Warszawie, oraz pogrzeb generałowej Sowińskiej, przy których to wypadkach doszło do jawnych, publicznych de-

monstracyi przeciwko najezdniczemu rządowi. Młodzież, wstrząśnięta do głębi duszy, zaczęła myśleć, pracować i zbierać się w patryotyczne kółka, przygotowując się do dalszych czynów. Wówczas to w r. 1859 i 1860 miały miejsce za częste (parę razy na tydzień) wieczorki młodzieży, na których bywało po kilkadziesiąt osób. Na tych wieczorkach najwięcej zwrócili mą uwagę: 1. Karol Majewski (tak dobrze później znany), 2. Karol Nowakowski (ze szkoły Sztuk pięknych, zwany Ukraińcem, śpiewak młodzieży, szlachetny i dzielny, jeden z najgorętszych i najwięcej poświęconych, który później najbardziej się odznaczył w demonstracyach. Ranny 8 kwietnia przez Moskali, padł z krzyżem w ręku pod Zygmuntem, aresztowany i zesłany do Kamczatki). 3. Finkeisen. 4. poeta Komar 5 i 6 dwaj bracia Pieńkowscy Adolf i Karol. 7. Olszewski Eugeniusz. 8. Stanisław Krzemiński. 9. Bolesław Żmijewski. 10. Aleksander Adamowicz. 11. Szwagier mój Ilnicki (później zamordowany przez lud na Syberyi) i wielu innych. Sybiracy mieli swoje oddzielne kółko, na którego zebraniach byłem parę razy, mianowicie u Agatona Gillera. Po kilku miesiącach Karol Majewski, zaprosiwszy mnie i Żmijewskiego do siebie, oświadczył nam, że wieczorki posłużyły mu jedynie do bliższego poznania młodzieży i że teraz chciałby zorganizować coś poważniejszego. Zawezwał więc nas, abyśmy wybrali paru bliższych i pomocniejszych przyjaciół, co on również uczyni, i na następnem zebraniu omówimy projekt przyszłej organizacyi. Mieliśmy się zejść po paru dniach u Bolesława Żmijewskiego. Znaleźli się tam: Piotr Umiński obecnie będący w Krakowie (który jednak nie chciał należeć do żadnego spisku i zaraz oddalił się), Karol Majewski, Aleksander Adamowicz, Edward Jurgens, gospodarz i ja. Jurgens oznajmił nam, że już ma kółko ludzi jednakowo z nim myślących, że, dowiedziawszy się o naszych zamysłach, przybył, aby nas powstrzymać od zakładania czegoś oddzielnego i skłonić do połączenia się z nim. Był to człowiek rozumny, uczciwy i szlachetny, a nadewszystko tak porywającego daru wymowy i rzadkiej siły przekonania, że odrazu pociągnął nas ku sobie. Jeden tylko Karol Majewski oparł się i usunął. Program Edwarda Jurgensa był następujący: Kraj znajduje się

w najniższym upadku. Moskale traktują nas jak trzodę, należy więc rozbudzić społeczeństwo z upodlającego uśpienia, uczcić w sobie godność ludzką, stawiać jawny, legalny, silny powszechny opór i zmusić rząd do nadania Królestwu rozległej autonomii.

Środkiem do tego celu miały być:

1. Obudzenie ducha we wszystkich warstwach narodu głównie zapomocą demonstracyi. W Warszawie przez obchód listopadowej rocznicy, w całym zaś kraju, w miastach i po wsiach przez najogólniejsze, najuroczystsze święcenie dnia 3. Maja.

2. Skłonienie całego kraju do przyjęcia za podstawę statutu organicznego, narzuconego Królestwu po 1831 roku, nigdy nie wprowadzonego w życie i nigdy oficyalnie nie zniesionego — do powoływania się na niego we wszystkich stosunkach z rządem, stawiania legalnego oporu i zdobycia w ten sposób rozległej autonomii.

Jurgens przekonał nas, że w ówczesnem położeniu program ten był jedynie możebnym, łatwym do przeprowadzenia i rokującym wielkie w przyszłości korzyści. „My wszyscy — mówił on — zginiemy, żaden z nas nie dożyje lepszych czasów, o tem powinniśmy być najmocniej przekonani i pogodzeni z tą myślą. Mamy być tylko nawozem na ojczystej ziemi, który ją użyźni i przyczyni się do obfitego w przyszłości plonu".

Program powyższy rozentuzyazmował nas i całą duszą oddaliśmy się Jurgensowi. Nie był on naszym współtowarzyszem, ale mistrzem i kierownikiem, któremu okazywaliśmy ślepe posłuszeństwo. Człowiek ten, dotąd nieznany, ubogi, urzędnik nizkiego stopnia, nagle zaczął wywierać ogromny wpływ na kraj cały. Andrzej Zamojski zbliżył się do niego, Komitet Towarzystwa Rolniczego zawiązał z nim stosunki, obywatele ziemscy radzili go się we wszystkiem, później Wielopolski nawet usiłował go zjednać dla siebie, ofiarując mu posadę profesora w Puławach. Projektowano nawet dać Jurgensowi stałą pensyę, aby nie potrzebował pracować w biurze lecz cały swój czas poświęcał na usługi kraju. — Ze swej strony niecierpliwsza młodzież skupiała sie oddzielnie około Karola Majewskiego.

Ówczesna Warszawa podzieliła się na dwa obozy: Jurgenszczyków i Majewszczyków, pomiędzy którymi, coraz większe wzrastało rozdrażnienienie. Zaczęto podejrzewać Jurgensa, rzucać na niego oszczerstwa, nawet nazywano go agentem moskiewskim, synem szpiega i tym podobne wymyślano niegodziwości. — Tymczasem nadszedł Listopad. Jurgens polecił mnie, Bolesławow Żmijewskiemu i Karolowi Nowakowskiemu, abyśmy się zajęli urządzeniem obchodu rocznicy listopadowej. Napisałem odezwę wzywającą lud do zgromadzenia się wieczorem 29/11 [1860] pod Kościołem Karmelitów na Lesznie, dla uczczenia pamiątki narodowego powstania. Przepisaliśmy ją na paręset rąk i rozdali pomiędzy młodzież. W oznaczonej godzinie zebrało się rozpacznie mało, zaledwie kilkunastu, ale co chwila przybywało więcej. Szybko uiluminowaliśmy posąg Matki Boskiej i wtedy tłum, wzrastając coraz bardziej doszedł do poważnej liczby paruset osób. Otoczeni dokoła przez policyę, uklękliśmy w błocie pod posągiem M. Boskiej i przeszło godzinę śpiewaliśmy chórem — z Za Karolem Nowakowskim — Boże, coś Polskę, Pieśń Konfederatów i inne. Nie zaczepieni przez nikogo, rozeszliśmy się śpiewając: „Jeszcze Polska nie zginęła!"

Odważny ten czyn młodzieży olśnił całą Warszawę; rozmawiano jedynie o tym wypadku, a Majewszczycy postanowili powtórzyć go w rocznicę bitwy Grochowskiej. Niechętny zbyt częstym demonstracyom, przytem jak już wspomniałem, mając zamiar urządzić w całym kraju ogólny obchód narodowego święta w dniu 3. maja (przygotowanie czego poruczył już nawet mnie i Finleisenowi) Jurgens usiłował udaremnić zamiar młodzieży. Wszystkie jednak nasze starania okazały się próżnemi. W rocznicę bitwy Grochowskiej zebrały się wieczorem na Starem Mieście kilkadziesiąt [kilkołysięczne] tysięczne tłumy; — z domu Kilińskiego wyszła procesya z pochodniami i chorągwiami, nastąpiło starcie z wojskiem i aresztowano kilku z młodzieży. Na drugi [trzeci] dzień powtórzyły się jeszcze groźniejsze wypadki. Około dziesiątej rano zgromadziło się kilka tysięcy ludzi w kościele i przed Kościołem Karmelitów na Lesznie, skąd przez Długą ulicę i Stare Miasto ruszono ku Zamkowi, aby żądać wypuszczenia więźniów. Kilku-

nasto-tysięczny ten tłum został rozproszony przez kozaków, ale o paręset kroków dalej, na placu przed kościołem Karmelitów, na Krakowskiem przedmieściu zaszło krwawe starcie z wojskiem pod dowództwem generała Zabołockiego i zamordowano pięć niewinnych ofiar z ludu. Dnia 2. marca odbył się wspaniały ich pogrzeb, a po nim nastąpił cały szereg demonstracyi, których jako znanych ogólnie nie będę tu opisywał. Warszawa, od wieku katowana przez carskich zbirów, mając tyle lat zakneblowane usta, szalała teraz najgorętszym, najszczytniejszym, niczem nie powstrzymanym zapałem. Wszystkie serca uderzały gorętszem tętnem, wszystkie oczy zachodziły łzami wzruszenia, wszystkie dusze gotowe były do poświęceń. W ten sposób upłynęło kilka miesięcy słodkiego, rozkosznego upojenia, po których niestety miało uderzyć tyle okrutnych ciosów. Och! kwiat świętej miłości Ojczyzny wymaga koniecznie, aby go podlewano krwią i łzami! Wtedy rozwija się bujnie, rozkrzewia i zakwita w coraz liczniejszych sercach, zapuszczając w nie coraz głębiej korzenie. Nieraz później potępiano te — jak mówiono — szalone i bezużyteczne ofiary i może wistocie nie godzi się ich nadużywać, ale nie sądzę, aby miały być one bezpłodnemi. Kraj, który jak nasz przechodził takie koleje męczeństwa, nigdy nie zginie, a tak zwane organiczne prawa tam tylko mogą być dotrzymane, gdzie uprawili grunt tacy, jak wówczas szaleńcy. Inaczej naród by zasnął, zatył i Bóg wie jak nizko byśmy upadli, gdyby mądra zasada Stańczyków przyjętą ogólnie zostać. Ale powracam do rzeczy. W owych czasach aresztowano Jurgensa i uwięziono w cytadeli warszawskiej, gdzie też wkrótce umarł niewątpliwie zamordowany przez Moskali. Rozproszeni jego zwolennicy popłynęli z ogólnym prądem wypadków, porywających wszystko za sobą. Ja osobiście przyjmowałem w nich również udział, nie należąc jednak do żadnego sprzysiężenia, którego zresztą jeszcze wówczas nie było. Dopiero później nieco wytworzył się Komitet Centralny, który rozpoczął organizować w całym kraju sprzysiężenia, do którego jednak z początku nie należałem. Wprawdzie raz polecono mi, abym się udał do Narzymskiego, — autora dramatycznego, — dla porozumienia się z nim w sprawach kra-

jowych, ale nie przyszło do zgody, on wydał mi się zbyt lekkomyślnie czerwonym, ja jemu ostrożnie białym; rozeszliśmy się więc bez żadnego skutku.

W tym czasie mieszkałem razem z Oskarem Awejdą, o którym wiedziałem, że należy do Komitetu Centralnego, ale z poczucia obowiązku nie mówiliśmy o tem. Dopiero później zdaje mi się w początku października Awejda i drugi członek Komitetu (nazwiska nie mogę sobie przypomnieć, wiem tylko, że był to ten sam; który na posiedzeniach Towarzystwa Rolniczego miał głośne wówczas starcie z Walewskim) dali mi instrukcyę i wysłali jako swego agenta na zjazd księży, dyecezyi siedleckiej, z poleceniem zjednania ich dla Komitetu Centralnego. Wyjechawszy z Warszawy przybyłem, jak mi polecono do właściciela wsi Zakrzewskiego, — który po wybuchu powstania zebrał oddział i zaraz w piewszych dniach poległ na jego czele. Ten zawiózł mnie do probostwa, w którem korzystając z odpustu, odbył się zjazd przeszło 100 księży. Po przeprowadzonej dyspucie, wszyscy bez wyjątku przyłączyli się do t. z. stronnictwa Czerwonych, żądając tylko, aby do Komitetu Centralnego wstąpił jeden z duchownych. Zacni księża byli tak pełni zapału, że kilkunastu z nich odprowadziło w nocy, już nad ranem mnie, nieznajomego agenta, do stacyi pocztowej, przeszło milę drogi. Zaraz po mym powrocie, Komitet wysłał do innej dyecezyi — zdaje mi się Sandomierskiej Józefa Janowskiego, a wkrótce potem Awejda wezwał nas obu (pojedynczo) do wstąpienia do Komitetu Centralnego. Nie czując się odpowiednio uzdolnionym, długi czas wzbraniałem się, ale w końcu musiałem uledz, szczególniej gdy Oskar powiedział mi, że zostałem jednogłośnie wybranym przez wszystkich wydziałowych, którzy stanowczo żądają mego wstąpienia. (Później to samo powiedział mi Tytus Zienkiewicz, obecnie zamieszkały we Lwowie, jeden z ówczesnych wydziałowych), że nie wolno mi odmówić, że wreszcie wstąpienie moje i Janowskiego ważnem jest z następującego powodu: On tylko, t. j. Awejda i Giller Agaton jest za dłuższem przygotowaniem kraju, inni zaś prą do natychmiastowego powstania; aby więc nie dopuścić do przedwczesnego wybuchu, coby było nieobliczonem dla kraju nieszczę-

ściem, postanowili przybrać nas, jako jednakowo z nimi myślących dla stawienia skutecznego oporu Niecierpliwym.

Uległem i wstąpiłem do Komitetu Centralnego.

6. Data wstąpienia do Komitetu i na czyje miejsce.

Wstąpiłem do Komitetu w końcu października lub listopadzie, daty nie pamiętam, łatwo jednak oznaczyć ją jużto z podania Józefa Janowskiego, już to z historyi Gillera, wszystkie bowiem moje papiery, których miałem znaczną liczbę, zostały zatracone po mojem uwięzieniu. Szczegółu co do mego poprzednika w Komitecie Centralnym również nie jestem pewny. W owym czasie członkie jego zużywali się szybko. Chmieliński poza granicą kraju, Witold i Bronisław Marczewscy (uwięzieni, ale później dopiero), Schwartz (stracony), Jarosław Dąbrowski (w cytadeli), Narzymski, Wernicki i wreszcie ów, niewiadomego mi nazwiska, który mnie wysłał na zjazd księży. Otóż prawie z pewnością obaj z Janowskim wstąpiliśmy na miejsce tych dwóch ostatnich. Do ówczesnego Komitetu Centralnego oprócz mnie i Józefa Janowskiego należeli jeszcze: Agaton Giller, Oskar Awejda i Zygmunt Padlewski. W kilkanaście dni później przybył jeszcze Stefan Bobrowski, który jednak, lubo uczęszczał na posiedzenia, nie należał do składu Komitetu, będąc tylko naczelnikiem miasta Warszawy. Zastaliśmy dość smutne położenie. Organizacya liczna i silna przeprowadzona w całym kraju z gorączkową niecierpliwością oczekiwała hasła do wybuchu. Żądano go natarczywie. czyniono wyrzuty Komitetowi Centralnemu, a nawet często przybywano na zebrania z groźbami, domagając się oznaczenia stanowczego terminu. Tymczasem nie było prawie żadnych przygotowań do powstania, nawet nie istniał ściśle obmyślany plan jego. Widocznem było, że musi ono nastąpić i to wkrótce, znajdowaliśmy się bowiem na pochyłości, na której nie podobna się było zatrzymać,

Z drugiej strony Komitet Centralny, szczególniej od chwili ogólnego oddania się duchowieństwa pod jego rozkazy miał w swych szykach ogromną siłę, którą gdyby był umiał wyzyskać, mógł był w kilku miesiącach urzeczywistnić ideał na-

rodowy, poruszyć cały lud i przygotować potężne powstcnie, zdolne skruszyć zachwianego już najezdnika i wyrwać kraj z niewoli. Do tego jednak trzeba było ludzi nadzwyczaj zdolnych, a przynajmniej jednego genialnego człowieka, czego właśnie niestety brakowało. Rzucam krótką charakterystykę członków Komitetu Centralnego, przyczem chcę być ściśle sprawiedliwym, ani zbyt pobłażliwym, ani zanadto surowym. Do żadnego z nich nie miałem niechęci, żalu, lub urazy, a niektórych nawet serdecznie kochałem.

1. Agaton Giller, gorący syn ojczyzny, dla której całe życie cierpiał i poświęcał się, silniejszy w ustach i w piórze niż w czynie, przytem zbyt wiele rozumiejący o swych literackich zdolnościach. Zapewniał mnie raz że program, który napisał, wydrukowany w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy i że wyrażenie „Rząd najezdniczy“ on pierwszy wziął i rozpowszechnił. On to był twórcą owego projektu dyslokacyi (zdaje mi się że nazwał to inaczej) zagrożonych poborem, o którym był przekonany, że jest genialnym, a który jednak innym członkom Komitetu wydał się niedorzecznością. Długi czas będąc jednym z kierowników sprzysiężenia, dążącego do powstania, które nieodzownie musiało nastąpić, nie chciał słyszeć o powstaniu, a gdy mówiono o zabiciu Wielopolskiego, demonstracyjnie wychodził do drugiego pokoju. Rozumiałem ludzi pragnących powstania i nie wątpiących o zwycięstwie, rozumiałem i tych, którzy nie wierzyli we własne siły narodu i chcieli jedynie podnosić go, oświecać i wzbogacać, ale Gillera nigdy nie mogłem pojąć.

2. Zygmunt Padlewski niewątpliwie szczerze kochał ojczyznę, lecz służba w wojsku moskiewskim uczyniła go lekkomyślnym, i powierzchownym. W ruchach i w słowie pozował na wielkiego wodza, jednak nie sądzę, aby miał rzeczywiste wyższe zdolności.

3. Oskar Awejda, serdecznie dobry, miły, spokojny, cichy i sympatyczny, niezdolny do poróżnienia się z kimkolwiek. Łatwy do przekonania, ustępował każdemu, a przynajmniej nigdy się nie sprzeczał. Rozmawiając z białym, stawał się białym, wobec czerwonego czerwieniał, a że przytem mówił niewiele i miał

wzrok zamyślony, jakby skierowany na wewnątrz, wielu pod tą powierzchownością odgadywało niezmierną głąb która, niestety, była dość płytką. Główną cechą tego człowieka była wielka dobroć, połączona z niepojętą słabością i nieraz mówiłem mu, że przy takim charakterze nigdy nie powinien był przyjmować udziału w sprzysiężeniu. Znużenie fizyczne, szczególnie niewyspanie obezwładniało go do tego stopnia, że otoczony przez Moskali, przed którymi mógł jeszcze uciec, gotów był położyć się, aby się tylko przespać godzinkę, chociaż wiedział, że obudzi się w rękach wrogów.

4. Józef Janowski najgorętszy, najbardziej poświęcony patryota. prawy, szlachetny, odważny, był bardzo słabych zdolności, lubo później, jako członek Rządu Narodowego uwierzył w swą wielkość. Był on tak gotowym do ofiar, że na każde wezwanie, bez wahania, bez chwili namysłu, gotów był wskoczyć w ogień i wodę.

5. Jan Maykowski wreszcie również słabych zdolności, o czem wiedział dobrze i nigdy się nie łudził.

6. Ze wszystkich członków Komitetu Centralnego, Stefan Bobrowski, naczelnik miasta Warszawy był niewątpliwie najzdolniejszym. Człowiek ten zdawał się być stworzonym na konspiratora. Ruchliwy, wytrwały, nieznużony, pełen inicyatywy, odważny prawie do lekkomyślności, poruszał się wśród ciągłych niebezpieczeństw, jakby w swoim żywiole. Przed wybuchem powstania i później wiecznie miał po kieszeniach pełno pistoletów, rewolwerów i sztyletów, które zbierał dla powstańców i nieraz czyniliśmy mu uwagę, że na ulicy wysuwała mu się na widok lufa albo ostrze. Podwładnym swoim za miejsce schadzki naznaczał najczęściej kawiarnie, cukiernie, lub restauracye. W oznaczonej godzinie wpadał szybko, przybiegał do tego lub owego, szeptał parę minut po cichu i wydawał rozkazy, zwracając na siebie uwagę wszystkich. Kilkakrotnie doszło do wiadomości policyi, że naczelnik miasta Grabowski — pod tem nazwiskiem był on znany — będzie o tej godzinie w tej lub owej cukierni. Policya narodowa ostrzegała go, że ma tam być aresztowany.

Bobrowskiego bawiło to niesłychanie i spotkawszy mnie

na ulicy, zaprowadził przed ową cukiernię, ciesząc się widokiem wpadających do niej policyantów i żandarmów. Zaledwie zdołałem go odciągnąć i uprowadzić ze sobą. Był tak ogólnie znany w mieście, że gdy szedł przez ulicę zawsze niedbale ubrany i podobny do arsenału, przechodzący obracali się za nim, szepcąc: — „Patrz, patrz naczelnik miasta Grabowski" — Nadewszystko nie ufał starej emigracyi, dawniejszym znakomitościom narodowym, szczególniej Mirosławskiemu i był najmocniej przekonany, że podczas powstania z pośród młodzieży wypłynie genialny wódz ludowy, który wypędzi Moskali. Zginął z ręki Grabowskiego w pojedynku odbytym w Poznańskiem. Gdyśmy usiłowali niedopuścić do tego, używając nawet rozkazu, jako członkowie Rządu Narodowego nie chciał ustąpić i wziąwszy na bok mnie i Awejdę powiedział: — „Jeżeli zginę, wina spadnie na Agatona Gillera, on to bowiem w Krakowie stał się przyczyną. że musi przyjść do pojedynku." Po tym wstępie — który bliżej wyjaśnię ustnie — powracam do rzeczy.

W drugiej połowie grudnia, a raczej w końcu, otrzymaliśmy od Jarosława Dąbrowskiego plan powstania, wypracowany, w więzieniu cytadeli warszawskiej. Rozpadał się na 2 części, a trzecią dodał Stefan Bobrowski. Ta była wyłącznie jego pomysłu.

1. Wzięcie Modlina (które wyjaśnię ustnie).

2. Powstanie jednocześnie w całym zaborze moskiewskim (wyjaśnię ustnie).

3. Pochwycenie księcia Konstantego z całą rodziną (wyjaśnię ustnie).

Plan ten, którego drugą część poprawili i uzupełnili członkowie Komitetu Centralnego wydał się nam tak doskonałym, tak łatwym do przeprowadzenia i rokującym niechybnie powodzenie, że wszyscy byliśmy olśnieni i z zapałem postanowiliśmy go przyjąć, oznaczając jednocześnie termin na 23. marca 1863 roku. Jeden tylko Agaton Giller stanowczo sprzeciwił się i pomimo, że przegłosowanym członkom nie wolno było usuwać się samowolnie, wystąpił z Komitetu. Na jego miejsce, stosownie do umowy z duchowieństwem, przyjęliśmy ks. Mikoszewskiego, wikaryusza parafii St. Aleksandra, nieszczęsną omyłką wybranego przez Awej-

dę.] Był to człowiek niesłychanie próżny, bez żadnych zdolności, a nawet wykształcenia, przytem nikczemnego charakteru, jak się później okazało, tylko arogant, strojący się w cudze piórka i wydający się przed wszystkimi za redaktora „Głosu kapłana polskiego" pisma tajnego najlepiej redagowanego — co było wierutnem kłamstwem. Tak zmieniony częściowo Komitet Centralny, energicznie zajął się urzeczywistnieniem przyjętego przez siebie planu, a przedewszystkiem napisaniem odezw do biskupów i instrukcyi dla księży, — co wykonał Awejda — a według której wszyscy proboszcze w całym kraju mieli wprowadzać do sprzysiężenia lud wiejski. I dziś jeszcze po 20 przeszło latach, mam to przekonanie, że gdyby niespodziewany pobór nie sparaliżował wszystkiego, bylibyśmy przeprowadzili przygotowania i w oznaczonym terminie lub późniejszym nieco (gdyby przedłużenie okazało się potrzebnem) wybuchłoby powstanie, prawie powszechne, które przyniosłoby całkiem inne owoce! — Ale niestety Wielopolski, najrozumniejszy ze wszystkich naszych wrogów, uderzył w samo serce własną ojczyznę i przekonawszy rząd moskiewski o konieczności zarządzenia w królestwie poboru, zmusił sprzysiężenie do przyspieszonego, bez żadnego przygotowania wybuchu. — Około połowy stycznia 1863 roku, zdaje mi się 13, przeprowadzono w Warszawie pobór, pochwyciwszy w nocy mnóstwo młodzieży, z której większość należała do spisku. Był to straszliwy cios. Cały urok, otaczający Komitet Centralny — który jeszcze w czerwcu nierozważnie zapewnił kraj, że w żadnym razie nie dopuści do poboru — znikł odrazu; zrospaczony lud przeklinał głośno członkow Komitetu, posądzając ich o zdradę. Nastąpił zupełny upadek na duchu. Wobec takiego położenia, powstanie stało się niepodobnem. Głęboko przekonany, że byłoby ono nietylko wielkim błędem, ale wprost zbrodnią nie do przebaczenia, na najpierwszem posiedzeniu — nazajutrz po poborze — wystąpiłem z następującym projektem: Komitet Centralny, skompromitowany wobec kraju, nie może dłużej istnieć, a dla zrehabilitowania chorągwi, którą dotąd wszystko trzymał, powinien koniecznie upaść z godnością. Wybierzmy więc pięciu

następców, oddajmy im wszystkie nici i jako testament przekażmy im plan powstania, który z czasem da się urzeczywistnić.

Kraj musi przeboleć klęskę poboru, aż wzmocniony i odpowiednio przygotowany, będzie mógł pomścić wszystkie zadane mu ciosy i odzyskać niepodległość. Nam jednak nie wolno żyć! Wydajmy manifest do narodu, wybierzmy z resztek organizacyi warszawskiej kilkudzięciu dzielnych i na ich czele rzućmy się na pałac Brühlowski, aby zabić zdrajcę Wielopolskiego i razem z nim zginąć.

To jest dziś najświętszym naszym obowiązkiem i jedynym środkiem ocalenia kraju od klęski. Projekt ten został przez wszystkich odrzucony. Stanisław Bobrowski powiedział, że jest to projekt rozpaczy, iż nam nie wolno rozpaczać, bo tu nie idzie o nas tylko o kraj. Padlewski szyderczo odezwał się do mnie: — Widzę, że umiesz tylko pisać odezwy, ale gdy przychodzi chwila czynu, chcesz się cofać" — Mikoszewski najusilniej protestował. Janowski również nie zgadzał się, nawet Oskar Awejda opuścił mnie, lubo wpierw przed posiedzeniem przekonany przezemnie, obiecał popierać mój projekt. W zamian za to postanowiono ogłosić powstanie, wyznaczając termin za kilka dni to jest 21/22 stycznia 1863 roku. Kilko-dniowa zwłoka użytą została na przesłanie odpowiednich rozkazów po całym kraju i przygotowanie manifestu do narodu. — Z rozpaczą w sercu poddałem się większości, ale stanowczo oświadczyłem, że lubo nie usuwam się, jednak przestaję być członkiem Komitetu i jestem tylko jego sekretarzem. Janowski, Awejda i Mikoszewski zgodzili się na to, a że Padlewski wyjeżdżał z Warszawy, jako dowódca oddziału, Bobrowski zostawał nadal naczelnikiem miasta, nikt zaś inny (nawet brat Janowskiego) nie chciał wstąpić do Komitetu, na przyszłość więc było tylko trzech jego członków. Ponieważ zaś „Rząd Narodowy" — tak się miał tytułować od chwili powstania i być jawnym — wraz ze swoim sekretarzem stanu mieli w wilię powstania wyjechać i dostawszy się do obozu tego oddziału, który się okaże najważniejszym, obrać przy nim miejsce pobytu i urzędowania — utworzono więc komisyę, mającą w War-

szawie zastępować Rząd Narodowy, której przełożonym został zamianowany naczelnik miasta, Stefan Bobrowski.

Posiedzenie Komitetu Centralnego, na którem przedłożyłem powyższy projekt, odrzucony przez innych i na którem zapadła uchwała powstania w dniu 10/22 stycznia, wreszcie okoliczność, że od owej chwili nie byłem już członkiem Rządu Narodowego, ale tylko sekretarzem stanu, są dla mnie najbardziej ważnemi, tem więcej, że obecnie mało kto wie o tem. Giller wcale nie znał tego ustępu, Padlewski i Bobrowski zginęli, Mikoszewski przeszedł do Moskali, Awejda Bóg wie gdzie jest i czy żyje jeszcze, a Janowski nie wiem czy przypomina sobie ten szczegół. Zresztą ja jeden tylko jestem bardzo interesowany, aby okoliczność powyższa nie została pominiętą.

7. Przygody moje i Aweidy od wyjazdu z Kutna do powrotu do Warszawy. — Dzień wyjazdu z Kutna i dzień powrotu do Warszawy.

Wieczorem 21. stycznia na kilka godzin przed wybuchem powstania trzech członków Rządu Narodowego i sekretarz stanu wyjechali koleją z Warszawy do Kutna. Mikoszewski, siedzący w innym wagonie, zniknął zaraz w początku podróży i przez długi czas nie ukazywał się wcale. Diategoteż nie będę o nim więcej wspominał, wzmiankuję tylko, że w kilkanaście dni po powrocie naszym do Warszawy, zjawił się znowu nagle, chcąc mieć udział w rządzie, lecz usunęliśmy go stanowczo, bez ogródek i wypowiedziawszy mu całą prawdę.

Po tym ustępie powracam do dalszego toku opowiadania:

W Kutnie zatrzymaliśmy się zaledwie parę dni, gdyż w małem miasteczku zjawienie się trzech obcych ludzi, bezustannie porozumiewających się z przybywaiącymi do nich posłańcami, musiało obudzić czujność Moskali, którzy nawet wybierali się aresztować nas. Uprzedzeni w porę przez organizacyę narodową, udaliśmy się do Łodzi, gdzie od Agentów naszych otrzymaliśmy dość szczegółowe raporta o położeniu kraju i stanie powstania. Najsilniej wybuchło ono w guberniach Lubelskiej i Radomskiej, szczególnie w tej ostatniej, gdzie Langiewicz zgromadził pod św.

Józef Kajetan Janowski, [illegible] Komitetu Centralnego, świadek tego, co w strasznych dniach 15–18go stycznia 1863 mówiono w Komitecie, w przypisku do listu mego z 7. grudnia 1910 r. z Warszawy [illegible] dosłownie: „Maykowski, zdenerwowany, mówił, że należy wydać proklamacyę wzywającą lud do zgromadzenia się u Św. Krzyża, stamtąd po nabożeństwie pójść do Zamku z żądaniem wydania zabranego rekruta. My sami zgłaszamy, lecz dla utrzymania mieć trzeba wybrać 5ciu ludzi, tym powierzyć przygotowanie narodu do powstania... Po długich przekonywaniach Maykowski cofnął wniosek. Jak tę sprawę zapisałem w pamiętniku „Obszerne dzieło o Ruchu Narodowym 1859 do 1864 r." [illegible] zostało w rękopisie]. Działo się to w mieszkaniu L. Mikoszewskiego". J. K.

Krzyżem paro-tysięczny oddział. Postanowiliśmy więc przerżnąć się do jego obozu i po trzech dniach przepędzonych w Łodzi, wyruszyliśmy w dalszą podróż. W Tomaszowie przenocowaliśmy u miejscowego proboszcza, skąd na drugi dzień rano ja z Awejdą pojechałem na Opoczno, Janowski zaś z towarzyszącą mu żoną udał się inną drogą. W Opocznie zastaliśmy powstańczy oddział złożony ze 600 ludzi, pod dowództwem Łaknińskiego, Znajdował się przy nim jakiś Sybirak, którego Łakniński mianował Komisarzem cywilnym przy swoim oddziale. Był to człowiek niewątpliwie uczciwy, ale nadzwyczaj ograniczony. Przeglądając nasze legitymacye, powziął jakieś niedorzeczne podejrzenie i z uporem namawlał dowódcę do zatrzymania nas, dopóki się rzecz nie wyjaśni, to jest do powrotu wysłanego natychmiast do Langiewicza posłańca. Łakniński wprawdzie nie podzielał podejrzewań swego komisarza, jednak prosił nas, abyśmy się u niego zatrzymali przez parę dni. Wszędzie w okolicy stoją małe oddziałki Moskali, które nas z pewnością pochwycą, a ponieważ i on również wyruszy za dwa dni dla połączenia się z Langiewiczem, bezpieczniej więc będzie odbyć podróż pod osłoną jego oddziału. Chcąc, nie chcąc (a zresztą i przekonani jego słowy) ulegliśmy i zgodzili się na dwudniową zwłokę. Łakniński czekał jedynie na żelazne działo, które miało już być ulane we fabryce i dziś jeszcze z pewnością dostarczone. W istocie po kilkunastu godzinach ułani przyprowadzili do obozu działo. Znalazł się i artylerzysta, wysłużony żołnierz z moskiewskiego wojska, który z ochotą przyjął służbę w szeregach narodowych. W ogólności oddział Łaknińskiego był względnie wcale nieźle wyćwiczony, a ludzie pełni zapału. Uzbrojenie tylko pozostawiało wiele do życzenia. Widok tej poczciwej garstki — i innych później — przekonał mnie, że żaden w świecie naród nie ma tyle wrodzonej zdolności do żołnierskiego zawodu, ile my Polacy, i że w razie przyjaznych okoliczności pod rozumnym i energicznym kierownikiem, w ciągu paru tygodni, możnaby zorganizować wielką narodową armię, zdolną stawić zwycięski opór najlepszym europejskim wojskom. — Młody jednak dowódca nie budził w nas zaufania. Niewątpliwie był on dobrym patryotą, ale nie dorósł

do swego stanowiska. Gdy wraz z Aweidą nagliłem go, aby głównie i nadewszystko zajmował się przeprowadzeniem uwłaszczenia włościan, ogłaszając go wszystkim gminom i pilnując, aby właściciele dóbr ściśle spełniali odnoszący się do tego rozkaz Rządu Narodowego, odpowiedział nam, że to jest rzeczą władz cywilnych, on zaś ma co innego do czynienia. Inni dowódcy zaniedbywali również tę sprawę, a jednak miała ona pierwszorzędne znaczenie. Było to przecież nasze pierworodne dziecko i gdybyśmy mieli wypielęgnowane je troskliwie, powstanie mogło było jeszcze przybrać szersze rozmiary, a nawet w razie ostatecznego upadku przyniosłoby w przyszłości nieobliczone korzyści. Ale powracam do Łaknińskiego. — Właśnie nawet oficerowie jego uważali go za słabego i niezdolnego, gdy podczas pochodu pod S. Krzyż kilku z nich namawiało mnie do objęcia dowództwa nad oddziałem, lubo znali nas jedynie z rozmowy i gorliwego zajmowania się kosynierami. Naturalnie, odrzuciłem ich propozycyę i skłoniłem do posłuszeństwa Łaknińskiemu, choć czas okazał, że mieli słuszność, nie ufając mu. — Podczas dwudniowego pobytu w Opocznie, poświęconego ćwiczeniu oddziału i wyprawom na podsuwających się pod samo miasto Kozaków — nie spaliśmy prawie zupełnie.

Obie bowiem noce Moskale kilkakrotnie alarmowali oddział, który prawie do rana stał pod bronią, gotowy do walki. Wraz z Aweidą znajdowaliśmy się przy kosynierach na mostku, pod miastem. Na trzeci dzień rano oddział wyruszył ku Końskim, dokąd przybyliśmy zaraz po południu. Korzystając z kilku-godzinnego zatrzymania się w miasteczku, rzuciliśmy się obaj na sofy dla przespania się choćby z godzinkę. Łakniński przyrzekł obudzić nas przed wyruszeniem w pochód. Tymczasem zerwawszy się po paru godzinach i wyjrzawszy na rynek, gdzie był rozstawiony oddział, zobaczyłem bolesny widok: Cały plac usłany lancami, pikami, kosami, armata na środku, ale ani jednego powstańca.

Zapomniałem powiedzieć, że podczas marszu z Opoczna, Łakniński dowiedział się od przejeżdżających obywateli i swoich szpiegów — i zaraz zawiadomił nas, — że Moskale, rozbiwszy

Hje... Z tego powiedzieć nie można wrażenia ...liwem, zwłaszcza, gdy chodzi o czasy późniejsze i inne okolice. (S. K.)

Langiewicza pod S. Krzyżem, ze wszystkich stron ciągną na niego.

Pomimo tego zapewniał, że nie myśli rozwiązywać oddziału i potrafi przebić się przez otaczające go wojska. Otóż teraz, korzystając z naszego snu, rozpuścił powstańców i porzuciwszy broń, oraz działo, uciekł i pozostawił śpiących na łup zbliżającym się wrogom. Pobiegłem na miasto, chcąc wystarać się o furmankę, ale mieszczanie, przerażeni wieścią o zbliżaniu się Moskali, obawiali się dać konie. Po długich poszukiwaniach znalazłem wreszcie szlachetnego człowieka, który lubo miał w domu chorą, prawie już konającą żonę, wzruszony mojemi słowy, zaprzągł do wózka i pojechał z nami. Bocznemi drogami dostaliśmy się pod Opoczno do starosty Opoczyńskiego, dobrze znanego mi starca, dzierżawcy dóbr rządowych. Przyjął on nas gościnnie, wziął w depozyt kilkadziesiąt tysięcy rubli, oraz blankiety z pieczęcią Rządu Narodowego i wyprawił podróżnych w dalszą drogę pocztowemi końmi. Awejde, śmiertelnie znużony, nie chciał dalej jechać i prawie przemocą wsadziłem go na bryczkę — Stąd wśród wielu niebezpieczeństw i kilkakrotnie wpadając w ręce Moskali, przez Tomaszów dostaliśmy się do stacyi kolei żelaznej i następnie wprost do Warszawy. Przekonaliśmy się bowiem, że Rząd Narodowy nie może się tułać z oddziałami, narażony na zmienne ich losy i musi urzędować w stolicy. — Wzmiankuję jeszcze tylko, że pod Tomaszowem właściciel ziemski, Władysław Chociszewski, członek organizacyi, wystarał się nam o paszporta i stosownie do rozkazów uwiadomił Jeziorańskiego o tem, co się stało w Końskich, wskutek czego dowódzca ten ocalił działo i wszystką broń porzuconą przez Łaknińskiego. Ponieważ w Warszawie dokąd przybyliśmy 5 czy 6 Lutego wieczorem — daty ściślej oznaczyć nie mogę — znajdował się jeden tylko członek Rządu Narodowego Awejde, więc aż do powrotu Janowskiego z obozu Langiewicza, wspólnie z komisyą zastępczą załatwialiśmy bieżące czynności. — Ustęp ten czasu od przybycia do Warszawy do wyjazdu do Galicyi — przeszło dwa miesiące — przypominam sobie niewyraźnie i jakby przez mgłę tylko. Okropne położenie kraju, przeczucia przyszłych klęsk, wreszcie świadomość

własnej odpowiedzialności — wszystko to doprowadzało mnie do rozpaczy. Przytem życie jakie wówczas prowadziłem, było tak zabójczo zużywające, że na zawsze złamało moją energię. Jeszcze przed powstaniem, Moskale pochwycili list do Mierosławskiego, podpisany przezemnie i Awejdę, jako członków Rządu Narodowego. Znając więc nazwiska rozdali nasze fotografie policyi, wskutek czego mieszkanie w pałacu Zamojskich na Senatorskiej ulicy, w którem we dnie spędzaliśmy najwięcej czasu dwukrotnie napadnięto wśród nocy i wszystkie nasze rzeczy zrabowano. Obaj mieliśmy farbowane włosy, brody i wąsy, co jednak mnie przynajmniej wcale nie zmieniło. Nie mieliśmy ubrania ani bielizny, prócz tego, w czemeśmy chodzili, bo Moskale zabrali nam wszystko. Zresztą każdy z nas oprócz posiedzeń Rządu Narodowego, bezustannie musiał załatwiać mnóstwo drobnych czynności: przyjmować sprawozdania przybyłych powstańców, wysyłać innych i dawać im instrukcye, co wszystko razem, a głównie cierpienia moralne, zużywało mnie tak bardzo, że codziennie, rzucając się spać, byłem prawie głuchy i ślepy, odurzony, jak kawał nieczułego drzewa. Och! jakże różną okazała się dla mnie rzeczywistość od owych rozkosznych rojeń o narodowem powstaniu. Dawniej przeczuwałem w niem najwyższy szczyt szczęścia ludzkiego na ziemi, a przecież te dnie były najstraszliwiej bolesnemi z całego mego życia. Nic więc dziwnego, że wypadki owych gorączkowych czasów szczególniej dziś po latach przeszło dwudziestu, majaczeją w mej pamięci niby senne widziadła.

Krótko więc tylko wspominam tu o nich. W kilka dni po powrocie Janowskiego do Warszawy, nastąpiła znaną dyktatura Langiewicza. Zaskoczeni tak niespodzianym faktem, byliśmy zmuszeni wydać manifest do kraju i jednocześnie wyprawiliśmy Bobrowskiego z Gillerem dla porozumienia się z dyktatorem.

Zanim jednak posłańcy nasi przybyli na miejsce, Langiewicz przeszedł do Galicyi, a oddział jego rozprószył się na kilka pomniejszych. Po powrocie Bobrowskiego i Gillera, ze względu, że w istocie było tylko 2 członków Rządu Narodowego, przystąpiono do wyboru nowych, którymi zostali: Oskar Awejde, Jan

Maykowski, Józef Janowski, Agaton Giller i jeszcze jeden Sybiak, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć.

Wkrótce jednak uznano, że dwaj pierwsi, jako znani Moskalom, nie mogli się dłużej utrzymać w Warszawie, a nawet narażali Rząd Narodowy. Zamianowano ich więc Komisarzami nadzwyczajnymi. Awejdę na Litwę, Maykowskiego na Galicyę. W miejsce ich wstąpili do Rządu Narodowego Ruprecht i Edward Siwiński. Nadaremnie wtedy prosiłem — jak zaraz w początkach powstania i później podczas Komisarstwa — aby mi pozwolono wejść do któregoś z oddziałów. Członkowie Rządu Narodowego stanowczo odmówili, nie pozwalając mi urzeczywistnić marzenia od lat dziecinnych, aby choć raz w życiu bić się z Moskalami. Musiałem więc i dalej spełniać ciężkie obowiązki cywilnego urzędnika, do których nie czułem się zdolnym i które wtedy były nadzwyczaj przykremi.

8. Dzień wyjazdu z Warszawy i data nominacyi na Komisarza pełnomocnego.

Otrzymałem nominacyę 10. kwietnia 1863 roku nie na Komisarza pełnomocnego, lecz nadzwyczajnego na Galicyę wschodnią i zachodnią zarazem. Daty ścisłej wyjazdu z Warszawy nie pomnę, wiem tylko napewno, że było to w pierwszy, czy drugi dzień Wielkiejnocy moskiewskiej.

9. Przebieg czynności na Komisarstwie. Kto był wtedy Komisarzem wschodniej Galicyi, Jarmund Stanisław, czy Jacek Siemieński, podczas mego przybycia do Lwowa.

Wyjazd mój z Warszawy dał się wykonać z wielką trudnością i tylko cudowi zawdzięczam, że nie zostałem pochwycony w Skierniewicach (ustnie opowiem to zdarzenie, szczególniej zaś o niedoszłym do skutku planie Jarosława Dąbrowskiego). Przybyłem do Krakowa zdaje mi się 16-tego czy 17-go kwietnia przeprowadzony przez granicę przez rządcę Jacka Siemieńskiego. Wówczas Komisarzami pełnomocnymi byli: W Krakowie na Galicyę zachodnią Seweryn Elżanowski, emigrant z Paryża, we Lwowie na Galicyę wschodnią Jacek Siemieński. Obaj oni nie mogli

spełniać swych obowiązków, gdyż Komitety krakowski i lwowski wcale nie uznawały ich władzy, szczególniej ostatni, który Siemieńskiego nie chciał nawet przypuszczać na swe posiedzenia; obaj jednak po mojem przybyciu pozostali na swych miejscach. Siemieński tylko wkrótce po mym przyjeździe do Lwowa usunął się zupełnie. Jako Komisarz nadzwyczajny na całą Galicyę, otrzymałem następujące do spełnienia rozkazy, a najpierw do Krakowa:

1. Uregulować ścisły stosunek pomiędzy Rządem Narodowym a Komitetem dla zachodniej Galicyi, — podporządkując ostatni władzy pierwszego.

2. Bywać na wszystkich posiedzeniach Komitetu, starając się z jego pomocą wydobyć z Galicyi jak najwięcej pieniędzy i broni, oraz wyprawić jak najwięcej ochotniczych oddziałów.

3. Porozumieć się z Mirosławskim i skłonić go do poddania się rozkazom Rządu Narodowego.

4. Wybrać znaną ogólnie osobistość, któraby przebywając w Paryżu, podpisywała się na banknotach narodowych polskich.

5. Wysłać kogoś z arystokracyi, jako posła do papieża.

Co do 1-ego. Do ówczesnego Komitetu krakowskiego wchodzili: Józef baron Baum, Cezar Haller, hrabia Skorupka, Atanazy Bense, i kupiec żelazny Hahn. Należał jeszcze Chrzanowski, redaktor „Czasu", ale ten był obecny tylko na jednem posiedzedzeniu. Ludzie ci czynili, co mogli, szczególniej Baum i Haller, którzy pracowali z wielką gorliwością. Nie byli przytem z zasady przeciwnymi poddaniu się władzy Rządu Narodowego: zachodziły jedynie osobiste niesnaski z Elżanowskim, postępującym zbyt arbitralnie. Po zobaczeniu się ze mną, zaraz po pierwszem posieniu przyrzekli słuchać rozkazów Rządu Nar., co też sumiennie spełniali przez cały czas mego pobytu w Krakowie.

Co do 2-ego: Gorliwie zajmowałem się organizowaniem oddziałów, wraz z Komitetem, na którego posiedzenia punktualnie uczęszczałem, wskutek czego uzbroiliśmy w kilka tygodni i wyprawiliśmy do Królestwa cztery czy pięć oddziałów.

Co do 3-go. Pomimo usilnych z mej strony nalegań Mirosławski nie chciał uznać władzy Rządu Nar.: postawiłem go więc

o własnych siłach, ani nie dając pomocy, ani nie stawiając przeszkód.

Wkrótce potem wyprawił się (nawet sam osobiście nie był) do Królestwa z odziałem, mając tam urządzać obóz okopany ale rozbity zaraz na granicy, zniknął zupełnie z horyzontu powstania.

Co do 4-ego: Znosiłem się o to ustnie i pisemnie z kilku osobami, a głównie z Bentkowskim (internowanym wówczas w Krakowie) i z Libeltem, ale nikt nie chciał się podjąć tego zadania, którego też Rząd Nar. zaniechał.

Co do 5-ego: Miał się wybrać do Rzymu hr. Adam Potocki, z którym zapoznał mnie Bense w hotelu Saskim. Później jednak, gdy nadzieja interwencyi Napoleona upadła i szanse powstania zmalały, hr. Potocki wycofał się. A że jednocześnie wysłany zostałem do Lwowa nie wiem więc jak się ta rzecz skończyła.

Obok powyższych czynności Rząd Narodowy polecił mi później zbadać bliżej mniemanego wysłańca Czarnogórców, zawrzeć z nim ugodę w imieniu Rządu Nar. i dać mu parę tysięcy rubli na wyprawę zbrojną w pomoc powstaniu. Od pierwszej chwili człowiek ten wzbudził we mnie podejrzenie i odrazę, jednak ulegając rozkazowi i nie chcąc zrażać pobratymców (w razie, gdyby myliło mnie instynktowne przeczucie) zawarłem z nim ugodę, dałem parę tysięcy rubli zadatku i napisałem odezwę do Czarnogórców, którą w imieniu Rządu Nar. podpisałem. Później okazało się, że przysłany nie z Warszawy przez Rząd Nar., Czarnogórzec był nikczemnym szpiegiem moskiewskim. (Bliższe szczegóły opowiem ustnie). Zdaje mi się, że w końcu maja (daty ściślej nie jestem wstanie oznaczyć) otrzymałem od Rządu Nar. polecenie udania się do Lwowa. Istniały tam dwa Komitety: Czerwony (najwybitniejszym jego członkiem był Jan Dobrzański, redaktor „Gazety Narodowej") i Biały, który ogólnie nazywano Sapieżyńskim. Pierwszy złożony był niewątpliwie z ludzi patryotycznych i gorących, ale nie posiadał żadnej organizacyi, żadnej władzy w kraju, żadnej siły, a nawet nie odbywał posiedzeń. Drugi przeciwnie, lubo wszechwładny w Galicyi wschodniej, nie

chciał uznać Rządu Nar. i Komisarza pełnomocnego nie dopuszczał do swych obrad. Znając to położenie, Rząd Narodowy dał mi instrukcyę stanowczą, abym rozwiązał Komitet Czerwony i koniecznie skłonił Komitet Biały do uznania zwierzchniczej władzy Rządu Narodowego. W ostatnim tylko razie, gdyby w żaden sposób nie udało się złamać oporu, miałem wydać odezwę do prowincyi i przeprowadzić nową organizacyę w celu niesienia pomocy powstaniu. Nie przyszło jednak do tego. Komitet Biały, lubo niechętny ruchowi i Rządowi Narodowemu, ze względu jednak na możebną jeszcze interwencyę Napoleona, popierał powstanie i z konieczności poddał się zwierzchniej władzy Rządu Narodowego.

Położenie Komisarza nadzwyczajnego było niezmiernie trudnem i przykrem. Czerwoni nienawidzili go przezywając Sapieżyncem, Biali tolerowali go jedynie z przymusu, dając mu nieraz dowody swej niechęci. Pomimo tego na pozór stosunki były zupełnie dobre. Bywałem na wszystkich posiedzeniach Komitetu wspólnie z nim przygotowując wyprawę generała Wysockiego i podkomendnych mu dowódzców: Horodyńskiego i Miniewskiego. Członkami Komitetu byli: Adam Sapieha (który byl jego duszą), Floryan Ziemiałkowski, Alfred Młocki i Karol Hubicki.

Oprócz czynności spełnianych wspólnie z Komitetem otrzymałem jeszcze od Rządu Narodowego następujące specyalne zlecenia:

1. Udzielenie nagany generałowi Jeziorańskiemu i zmuszenie go do posłuszeństwa Rządowi Narodowemu.

2. Zniszczenie wydrukowanej już „Złotej Hramoty“ napisanej dla Rusi przez Maryana Sokołowskiego, (Komisarza pełnomocnika jego Henryka Schmidta (wyjaśnię ustnie).

3. Mianowania Chamca Komisarzem pełnomocnym na Ruś (w miejsce Sokołowskiego) i danie mu instrukcyi (wyjaśnię ustnie).

W końcu czerwca, czy w początkach lipca udałem się do obozu generała Wysockiego, Sapieha do oddziału Horodyńskiego, a Karol Hubicki do Miniewskiego. Znanym jest smutny koniec tej wyprawy. Bliższe jej szczegóły opowiem ustnie, tu

tylko nadmienię, że po nieudanym ataku na Radziwiłów, dowódcą następnej wyprawy miał zostać Edmund Różycki, ale ja w kilka dni później zostałem aresztowany.

10. Jaką dałem instrukcyę Chamcowi? Na czyje przedstawienie został tenże mianowanym Komisarzem pełnomocnym na Rusi? Kiedy widziałem się z Chamcem we Lwowie?

W miesiącu Czerwcu (bliżej daty nie znam) otrzymałem rozkaz od Rządu Nar. rozkaz dania nominacyi Chamcowi i instrukcyi, napisanej przez Rząd Nar., co wypełniłem przy widzeniu się z nim około połowy Czerwca. Zdaje mi się, że Chamiec sam przywiózł mi ekspedycyę z Warszawy, ale tego szczegółu dobrze nie pamiętam.

11. Data dymisyi i powód takowej: data aresztowania i wyjścia z więzienia.

Dymisyi nigdy nie otrzymałem i nic o tem nie wiem, obowiązki moje pełnić przestałem dopiero od chwili aresztowania. Wprawdzie na parę dni przedtem przybył Grabowski, przysłany przez Rząd Nar. z Warszawy dla załatwienia skargi, wniesionej na mnie przez generała Wysockiego, ale ten pojednał nas i o niczem więcej nie mówił. Powód żalu do mnie gen. Wysockiego, którego czciłem i kochałem za jego przeszłość był następujący. Gdy oddział jego podpartem uderzeniu na Radziwiłów, cofnął się do Galicyi, gdzie rzucił broń, z taką trudnością pozyskaną, przybył do mnie od Wysockiego Małuja i oddał kasę oddziału, zawierającą parę tysięcy półimperyałów w złocie. Kasę tę wręczyłem Komitetowi, który miał jej użyć na przygotowanie nowej wyprawy gen. Różyckiego. Tymczasem w parę dni później przybył do mnie nowy powstaniec od generała, żądając znów oddania kasy. Powiedział mi on, że Wysocki chce dać pieniądze powstańcom jużto na powrót, jużto na utrzymanie. Znając dobroć szlachetnego starca, posuniętą aż do słabości i wiedząc, że cała gotówka zmarnowanąby została, odmówiłem. — Wysocki uczuł się bardzo dotkniętym i napisał zażalenie do Rządu Nar., załatwionę, jak wyżej wspomniałem przez Grabowskiego.

Wogólności we Lwowie miałem wielu nieprzychylnych, którzy czynili mnie, jak mnie później doszło — różne najniesłuszniejsze zarzuty. Pomiędzy innymi utrzymywano naprzykład, że ja to zmusiłem Wysockiego do uderzenia na Radziłów. Przedewszystkiem nigdy nie mięszałem się do wojennych planów, gdyż na tem nie rozumiałem się. O ile wiem Wysocki niechętnie wyprawiał się na Ruś, ani chwili nie wierząc w możność powodzenia. Sam mi raz mówił:

„Gdybyśmy poszli w głąb kraju, Moskale wymordowaliby i połapali wszystkich, co do jednego. Żal mi tej dzielnej młodzieży i nie chcę jej mieć na sumieniu, dlategoteż uderzę na Radziwiłów, położony na samej granicy. Jeżeli zwyciężę, inne wojska moskiewskie będą iść na mnie z Łucka, Dubna i innych punktów, a ja wtedy rozbiję je pojedynczo, i wzmacniając się coraz bardziej, posuwać się będę dalej. Jeżeli zostanę odparty, stracę niewielu ludzi, a reszta powróci do Galicyi. Co do tej wyprawy, szczegóły objaśnię ustnie.

Tu powiadam jeszcze, że nie pomnę ścisłej daty aresztowania mego; w każdym razie nastąpiło ono wkrótce po wyprawie na Radziwiłów.

12. Czy pojechałem w Poznańskie z Eugeniuszem Keslerem i jakie tam zajmowałem stanowisko?

Nie mogłem być w Poznańskiem w Lutym 1864 roku, gdyż wtedy znajdowałem się jeszcze w więzieniu i pozostałem tam najpierw we Lwowie, a potem w Ołomuńcu, aż do zimy 1865 r.

13. Przygody na emigracyi i w Galicyi.

Wprost z Ołomuńca udałem się do Szwajcaryi, najpierw do Zürichu, a później do wsi Möhlina w kantonie Argau. Przez cały ten czas, przeszło dwa lata leczyłem się z powodu mocno nadwątlonego w więzieniu zdrowia. Następnie przybyłem w Poznańskie, — sprowadzony tam przez matkę i siostrę Maryę Ilnicką, — gdzie przez dwa lata pozostawałem, mieszkając prawie ciągle na wsi. W maju 1869 roku przeniosłem się do Galicyi, gdzie w styczniu 1870 roku ożeniłem się. Przez 3 lata byłem

buchalterem Banku Galicyjskiego dla Handlu i Przemysłu, najpierw w „Domu Komisowym“ w Stanisławowie, później w „Agencyi Oświęcimskiej“. Po zniesieniu tych instytucyi utrzymuję się jedynie z przekładów z niemieckiego i francuskiego dla pism warszawskich, oraz z zastępstwa agencyi Towarzystwa Ubezpieczeń w Krakowie. Obywatelstwo austryackie posiadam już od 8-miu lat.

14. Czy posiadam dokumenta, dotyczące mej działalności w Galicyi, a przynajmniej dotyczące mej osoby t. j nominacyę i dymisyę?

Obecnie nie mam żadnych dokumentów, gdyż jak już wspomniałem, wszystkie me papiery zostały zatracone po mem uwięzieniu.

15. Czym się widział z Traugutem? Kiedy? Gdzie? Wreszcie, cośmy ułożyli lub omówili ze sobą?

Nigdy nie widziałem Trauguta i dopiero w więzieniu dowiedziałem się o jego działalności i straceniu.

16. Jakie odezwy redagowałem w czasie pobytu w Komitecie. Czym wydał jakie odezwy, jako Komisarz nadzwyczajny (nie pełnomocny). Jakie i kiedy.

Podczas pobytu w Komitecie Centralnym, z ważniejszych pisałem jedynie manifest powstańczy z 22. stycznia. Drobniejszych nie pamiętam, zdaje mi się, że redagowałem również instrukcyę, w jaki sposób przeprowadzać w kraju uwłaszczenie włościan. Jako Komisarz nadzwyczajny wydałem jedną odezwę do Czarnogórców, o której wspomniałem.